Nr 25 (1588) Warszawa, 24 czerwca 1911 r. Rok XXXI

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Polacy i Rusini.

Dotychczasowa nasza taktyka względem Rusinów w Galicji służyć może za okaz nierozumu.

Wina to w pierwszym rzędzie tych stronnictw i sfer, które zdobyły sobie wpływ decydujący na losy kraju, a do roli tej nie dorosły.

Nigdzie może nie zaznaczył się tak jaskrawo związek dziedzicznej rutyny z nabytym nałogiem ślepego szowinizmu, jak właśnie w tej sprawie ważnej i drażliwej, a wymagającej elementarnego bodaj rozumu stanu i nieco pospolitego taktu.

Ani potężne do niedawna stronn. „wszechpolskie" ani wpływowi w Galicji podolacy, nie czynili zadość tym warunkom.

Reprezentanci wielkiej własności ziemskiej na Podolu we krwi od przodków przekazaną mają pogardę i niechęć do „hajdamaków", siłą głuchej na wszystko tradycji upatrując wciąż jeszcze „rizunów" i „czerń" z czasów Chmielnickiego w tym społeczeństwie młodym, surowym jeszcze, ale już bujnym i żywotnym. Nad waśnią narodową góruje tu właściwie zatarg społeczny, stara i w ciągu setek lat jątrzona zajadła walka klas, w której, niestety, nie my stanowimy element postępu.

Jeśli błędy czynione przez podolaków dają się w pewnej mierze usprawiedliwić tą konjunkturą społeczną, która ich stawia na straży okopów św. Trójcy pod egidą wiecznie jurnego w tych stronach feodalizmu — natomiast metody „wszechpolskie" żadnych po swej stronie nie mają względów łagodzących i zasługują na najsurowsze potępienie.

Dla działaczy tego autoramentu naród rusiński „istnieje", jego żywotna prężność jest dla nich zrozumiała i widoczna, a nawet w przesadnych przedstawia się im zarysach. Przyznają oni rację istnienia narodu rusińskiego, ale poto tylko, by zyskać tło odpowiednie dla praktyki nacjonalizmu, który, jak wiadomo, nigdzie bez objektu obejść się nie może.

To też, gdyby w Galicji nie było kwestji rusińskiej, wszechpolacy napewno by ją wynaleźli. A ponieważ istniała ona poprzednio, przeto wszystkich użyli sił, by ją możliwie rozjątrzyć, zabagnić i zaognić.

Czyliż nie przyznawał wódz tego stronnictwa w rozprawie publicznej, że wszystko, co Polacy mogą dla Rusinów uczynić, to właśnie „hartować ich w ogniu ciężkiej walki" o podstawowe prawa istnienia i rozwoju? A niedawno, czyż warszawski organ endecji nie czynił panu Bobrzyńskiemu cierpkich wyrzutów za nowy kurs pojednawczy, stawiąc mu za przykład hr. Andrzeja Potockiego, który „umiał" doprowadzać hajdamaków „do rozpaczy"? (czego wymownym dowodem — tragiczna jego śmierć).

To nie szyderstwo, nie autosatyra ze strony partyjnego pisarza — to naiwny cynizm w całej krasie nagiego barbarzyństwa.

Tym wskazaniom była endecja wierną do końca. Za jej to sprawą wzrosła w ostatnich czasach wzajemna nienawiść, wybuchając niekiedy dziką bratobójczą walką, powodując w krótkich odstępach czasu zbrodniczy zamach Siczyńskiego, haniebne bójki na Wszechnicy lwowskiej i zatarg szkolny w Żulinie

Nie wchodząc w tej chwili w to, jaką część winy ponoszą Rusini (a jest ona niemałą), musimy z całym naciskiem zaznaczyć, że bezmyślną, bezcelową a i niegodną wielkiego narodu jest ta polityka gromadnej i stałej *wendetty*, jaką zaleca nam stronnictwo „wszechpolskie", podczas gdy nawet półdzika Turcja

umiała ją zarzucić wobec zbuntowanych Albańczyków.

Nieszczęściem i hańbą dla nas jest ta waśń barbarzyńska w jedynej wolnej połaci Polski, gdzie pod osłoną praw autonomicznych sądzonym jest nam żyć wspólnie z narodem pokrewnym, świeżym, rwącym się do kultury i przeznaczonym, być może, do odegrania większej roli w niedalekiej przyszłości.

Pomijając już dotkliwe szkody, wyrządzone własnej naszej cywilizacji narodowej, która zdziczyć musi w tej atmosferze politycznego pięściarstwa — rzeczą jest dziś widoczną dla każdego kto patrzeć umie, że polityka polska *musi* zjednać sobie Rusinów jaknajrychlej, bo jeśli tego zaniedba, jeśli ich rozwój narodowy i kulturalny nie nastąpi za naszą zgodą i przy naszym nawet poparciu — to pójdzie on wbrew nas, za przewodem i poparciem innych, wrogich nam czynników... Wówczas też tworzyć zacznie groźne, realne dla nas niebezpieczeństwo, gdy dotąd jest ono zupełnie urojone, a sygnalizują je różne niepowołane straże gęsie na naszym Kapitolu.

Trzeba mieć oczy dokładnie zasnute bielmem kłamliwej doktryny lub niechęci kastowej, aby przeoczać fakt niezbity, że o ile nasza waśń z Rusinami krępuje nam ręce i obciąża stopy, jak żelazna kula — o tyle normalne z nimi współżycie a nawet współdziałanie czynne będzie dla nas rękojmią zupełnej swobody ruchów i perspektywą wspólnej, wpływowej akcji na najszerszej nawet widowni.

* * *

O prawdziwości tego twierdzenia przekonali się nader dotkliwie działacze endeccy w trakcie minionej kampanji o neoslawizm, której przebieg i wynik świeżo wyrył się w pamięci ogółu.

Nikomu dziś tajnym nie jest, że hasłem t. zw. neoslawizmu chciano zaszachować, osaczyć i stropić rządowy nacjonalizm rosyjski, który właśnie jął pokazywać kły i pazury.

Z objektywnego punktu widzenia, plan to był niezły, ale stanęły mu wpoprzek warunki, będące wytworem i prostym skutkiem opłakanej taktyki „wszechpolskiej" wobec Rusinów. Jakoż nacjonalizm rosyjski wiedziony nieomylnym w takich razach instynktem, odrazu wytropił miejsce najsłabsze i z umyślną przesadą wniósł na porządek dzienny sprawę „ucisku" „Rosjan halickich", nie szczędząc barw dosadnych i fantastycznych doniesień, zgodnie z etyką nacjonalizmu, która wszędzie wszak wzoruje się na moralności Hotentotów.

Wiadome są dalsze perypetje tej sprawy wraz z wizytą hr. Bobrinskiego we Lwowie i ostatnim zjazdem „słowiańskim". Zamiast osaczyć i oskrzydlić nacjonalizm rosyjski, stronnictwo „wszechpolskie" zostało samo przezeń oskrzydlone, zbite z tropu i musiało kapitulować. Zemściły się na nim jego własne grzechy. Neoslawizm pękł, jak bańka mydlana, ku wielkiej uciesze Niemców, którzy już się byli na chwilę jedną zatrwożyli wizją niespodziewanej choć pozornej harmonji w Pradze czeskiej, która wskrzesiła zagasłe wspomnienie Hussa, Żyżki, Jagiełły, Taboru i Grunwaldu.

Ta przejściowa, a niewątpliwa konsternacja Niemców, a zarazem gorliwy ich udział w podżeganiu waśni galicyjskiej, obok czułego pobratymstwa z reakcyjną prasą rosyjską, świadczy z dostateczną chyba wymową, że mglisty bodaj zarys unji moralnej dwóch sąsiednich szczepów słowiańskich przejmuje niepokojem najgroźniejszych naszych wrogów.

To też niekłamaną mieli oni satysfakcję, gdy bezpośrednio potym rozegrały się we Lwowie sceny bolesne i haniebne, a po toastach praskich rozległy się głośniej niż kiedykolwiek wycia nagonki przeciwpolskiej nad Newą. W długim szeregu naszych błędów politycznych przybyło znów jedno ogniwo.

* * *

Znaleźli się jednak i w Galicji ludzie, pojmujący naturę tych błędów i gotowi do ich naprawy.

Namiestnik dr. Michał Bobrzyński, oddawna endekom podejrzany, wypowiedział im wojnę otwarcie, dążąc zarazem niedwuznacznie po przez ruinę

J. STATKOWSKI.

GRACZ.

„Dramat układasz..."

„Mąż mój — pisała pani Marja Hodiczowa do Rychlińskiego — ani słyszeć nie chce o rozwodzie. Zagroził, że, w razie jakichkolwiek z mej strony kroków w tym kierunku, zabije Ciebie, mnie i siebie. Ja go znam: on słów na wiatr nie rzuca."

„Myśl, że mogłabym się stać przyczyną czyjej śmierci napawa mię bezmiernem przerażeniem. Nie, nie! Przebacz mi: nie mogę, lękam się. Słabą jestem, och! słabą!"

„Żegnaj!"

Tak pisała pani Marja.

Rychliński nie porwał się z miejsca, ani nie zaklął. Owszem, składając list we czworo, tak jak był złożonym poprzednio, — wydawał się najzupełniej spokojnym. Ruchem, cechującym raczej apatję niż wzburzenie wewnętrzne, wyjął z bocznej kieszeni ubrania pugilares; umieścił tam ów list łącznie z innymi listami; zamknął pugilares i wsunął go napowrót do kieszeni. Póżniej, przysuwając się z krzesłem nieco bliżej do stołu, jął skrupulatnie sumować długie kolumny cyfr w księdze kasowej. Podsumował je; książkę włożył do szuflady; załatwił jeszcze kilka zalegających papierów; przez chwilę namyślał się, czy nie zapomniał czego; schował pióro, ołówek i gumę; wszystkie trzy szuflady biórka zamknął na klucz i, prostując się raptem, krzyknął: „woźny!"

Gdy ten wszedł, Rychliński kazał sobie podać palto, kapelusz i laskę; zalecił mu, aby pogaszono lampy i napalono nazajutrz w piecach; przejrzał się w kieszonkowem lusterku, które zawsze nosił przy sobie; strzepnął z wielką starannością przód palta; nałożył rękawiczki i — wyszedł, zatrzaskując drzwi za sobą.

A przecie razem z tym listem...

Rychliński szedł Krakowskiem Przedmieściem.

Trudno bo było teraz poznać w tym przygarbionym, niepozornym człowieku pana Stefana Rychlińskiego, rzutkiego, eleganckiego prokurenta z handlu

szańców „wszechpolskich" do rozumnego pojednania z Rusinami.

Tymbardziej będzie to na czasie, że według miarodajnych źródeł, rząd wiedeński, idąc za wskazówkami monarchy, postanowił przyśpieszyć sprawę wszechnicy rusińskiej we Lwowie, co wpłynie kojąco na przewlekły zatarg i utrwali spokój na uniwersytecie lwowskim, tudzież polski jego charakter.

Zniknie ciężka zmora, co dręczyła tyle lat jedną z najważniejszych naszych placówek.

Zamierzona akcja namiestnika, do której bez wahania przyłączyć się winny wszystkie stronnictwa postępowe, wywołała w obozie endeckim wybuch wściekłości, na szczęście bez silnej, ponieważ wybory zakończyły się klęską sromotną „wszechpolaków". Obawiać się trzeba, że wzamian zechcą oni szukać odwetu na zwykłym polu swych harców i skorzystają z pierwszej okazji, by nową wywołać burdę z Rusinami.

Zyskają szczery poklask — nad Newą.

Okazuje się bowiem — co było zresztą do przewidzenia — że zamierzona rusko-polska ugoda budzi w tych stronach poważny niepokój.

Nowoje Wremią szlochało nad uciskiem „Rosjan halickich" póki mu to było potrzebne, by wyrwać Polakom z ręki atut „neosłowiański". Ale teraz zaznacza organ Suworyna bez ogródek, że nowy kurs w Galicji bardzo mu się niepodoba, bowiem dość dać Ukraińcom własny uniwersytet we Lwowie, aby na wieczne czasy zyskać ich sympatję i, co gorsza, stworzyć znaczny ośrodek atrakcji dla mnóstwa rusińskiej młodzieży z Rosji Południowej — gdzie mieszka przecie 30 miljonów ludzi, którym świeżo zakazano obchodzić rocznicę Szewczenki, a narodową „*Proświtę*" zabito srogimi karami.

To też łatwo zrozumiałym jest niepokój *Now. Wremi*, tudzież jego „życzliwe" dla Polaków rady i przestrogi, by bronili nadal przed Rusinami swego narodowego „stanu posiadania", dziś niemal równie drogiego panu Suworinowi, jak jego własny.

Prócz tego wzywa organ petersburski do popierania Starorusinów przeciw Ukraińcom, w myśl systemu, szeroko stosowanego przez endeków i podolaków w niedawnej jeszcze przeszłości, a nawet dotychczas. Tu zauważyć trzeba, że ta postawa nacjonalizmu rosyjskiego jest wywołana bardzo realną racją, a mianowicie obawą o całe Południe; czym jednak powoduje się nasz rodzimy nacjonalizm, szczując „moskalofilów" na „hajdamaków?" Chyba tylko pierwotnym odruchem, który każe wetować na słabszym razy odebrane od silnego sąsiada. I ten to prymitywny odruch zoologiczny narzucano nam przez lata całe, jako wytwór „wytrawnej" polityki!

Wierzymy — chcemy wierzyć — że ta fatalna hegemonja kołtuństwa w naszej polityce należy już do bezpowrotnej przeszłości.

Sądzimy, że ugoda polsko-ruska w Galicji przyjdzie do skutku i bodaj częściowo naprawi zło piętrzone latami całymi...

Polscy działacze polityczni powinni wyzbyć się zależności od podolskich magnatów, powinni zerwać z fatalną rutyną i wbrew podszeptom nieoczekiwanych „przyjaciół" stwierdzić dowodnie, że naród ruski ma prawo do wszechstronnego rozwoju nietylko w granicach Galicji, ale i po za tymi granicami, na całej przestrzeni ziem, przezeń zamieszkałych.

Zjazd lekarzy.

(Dokończenie).

Sprawa pracy społecznej i naukowej lekarza na prowincji wypełniła znaczną część zjazdu i niewątpliwie należy do najżywotniejszych, jako rdzennie związana ze sprawami społecznymi znaczenia ogólnego.

Najżywiej tę sprawę poruszył znany lekarz z Częstochowy, dr. Władysław Biegański, który śród ogółu lekarzy zajął wybitne miejsce, nietylko jako zdolny specjalista, wyróżniający się zarówno w pracy praktycznej, jak i teoretyczno-naukowej, ale także jako umysł ruchliwy, żywo odczuwający potrzeby szersze. Łódzkie Towarzystwo lekarskie zaszczytnie go wyróżniło, powołując na swego prezesa honorowego.

Dr. Biegański na zjeździe wygłosił referat na „temat główny" o pracy naukowej lekarza na prowin-

---

„E. Pik i S-ka". Wlókł się wolno, noga za nogą, z oczyma utkwionemi w asfalt uliczny; wymijał przechodniów mechanicznie, instynktownie.

„Słuchaj no, panie Stefanie! — mówił sam do siebie —: i cóż pan na to?" Nie znalazł odpowiedzi. Rychliński tak często nie umiał odpowiedzieć samemu sobie!

„Rychliński, ja ciebie nie rozumiem!" — mówiono mu nieraz, a on pytał: „alboż ja sam siebie rozumiem!? Czy myślicie, że ja sam siebie rozumiem!?".

I pisał pod wpływem rozpaczy:

„Jeżeli cię ludzie nie rozumieją — śmiej się z tego; lecz jeśli sam siebie nie rozumiesz..." — i darł nim zdanie dokończył.

„Ja jestem aktor, słyszycie, kapitalny aktor!... — wołał innymi czasy z krwawiącym humorem. — Wstępując do handlu, popełniłem fatalną omyłkę: powinienem był zostać aktorem. Hoho! Pojęcia nawet nie macie jaki we mnie siedzi materjał aktorski. Chcecie? Będę płakał! A jeżeli chcecie, wnet mogę się śmiać: ja wszystko potrafię!"

Lecz natychmiast budziły się w nim wątpliwości. „A może — myślał — może ja potrafię być aktorem tylko w życiu. Może na scenie nie był bym zdatny do najprostszej nawet roli!?"

Nosił się z zamiarem wstąpienia do teatru, a tymczasem „grał" rolę jeneralnego prokurenta w handlu „E. Pik i S-ka" z zacięciem i powodzeniem.

„Grał" — to najwłaściwszy wyraz.

Z czasem gracz, aktor, o tyle zlał się w nim z jego „ja" przyrodzonem, które, jak każdy zresztą człowiek, z pewnością posiadał, że o ustaleniu granicy pomiędzy temi dwiema osobami mowy być nie mogło. Przedstawiało to dlań trudność niemniejszą od tej, jaką obecnie dla świata naukowego przedstawia kwestja rozłożenia białka na części składowe.

„W tem cała moja oryginalność; w tem moja zabawka" — myślał — „że mniej siebie znam niż inni i że coraz to nowe odnajduje w swej duszy pierwiastki".

Przejmował się każdą swą rolą do tego stopnia, że wreszcie wierzył, iż on właśnie jest człowiekiem, przez się odtwarzanym. Kiedy złudzenie pierzchło, bolał nad tem głęboko i uspakajał się dopiero — w nowej roli. Mógł grać Hamleta i przez czas jakiś wierzył święcie, iż jest Hamletem; z kolei przedzierzgał się w osobę Don Żuana i był nim, co się zowie.

cji i poruszył żywo wszystkich uczestników zjazdu. Referent twierdzi, że nie jest jeszcze tak źle w „Obrzydłówku", że można w nim pracować z pożytkiem społecznym, że nawet lekarz prowincjonalny nie jest skazany na wyjałowienie swojej wiedzy specjalnej, gdyż to pojęcie powszechne, że tylko szpitale dostarczają lekarzom materjału naukowego, jest przesadzone.

Prawda, mówi referent, że od stu z górą lat cały postęp medycyny odbywa się prawie wyłącznie w szpitalach i pracowniach, ale z tego bynajmniej nie wynika, że jest to jedyny warsztat pracy naukowej. Są zagadnienia w nauce medycyny, których szpital ani pracownia dostatecznie rozwiązać nie mogą i które skutkiem tego są zaniedbane. W szpitalach spotykamy tylko ciężkie sprawy chorobowe, którym zwykle towarzyszą mniej lub więcej rozwinięte zmiany anatomiczne; wszelkie zaś sprawy z natury swej lekkie, szybko przemijające, początkowe obrazy przewlekłych chorób, ogromna większość zaburzeń funkcjonalnych bez zmian anatomicznych, nie znajdują przytułku w szpitalach.

Każdy lekarz, zaczynający praktykę po ukończeniu studjów uniwersyteckich, ze zdumieniem spostrzega, że istnieje cały szereg spraw chorobowych, których nie widywał nigdy w klinice i dla których nawet niema odpowiednich rubryk w podręcznikach patologji i terapji szczegółowej.

Istnieją dziedziczne, rodzinne, narodowe i rasowe usposobienia do pewnych chorób, lub przeciwnie, także sama odporność względem innych spraw patologicznych. Stosunki te znane są nam tylko w najogólniejszym zarysie. Nie posiadamy jednak prawie żadnych dat, szczegółowo zestawionych i odpowiednio opracowanych. Dat takich nie może dostarczyć obserwacja szpitalna, jest to właściwę pole badania dla lekarzy, praktykujących w małych miastach prowincjonalnych. Tymczasem nic dotychczas na tym polu nie zrobiono, pomimo bardzo sprzyjających warunków. W kraju naszym mieszkają skupieni prawie pod jednym dachem przedstawiciele rozmaitych narodów, a nawet ras, które ze sobą rzadko się krzyżują i łączą.

Mimowoli—mówi dr. Biegański—nasuwa się tu myśl porównawczych zestawień, zarówno statystycznych, ze względu na liczbę chorych, jak klinicznych co do przebiegu chorób! Z takich badań mogłyby powstać bardzo ciekawe i niezmiernie ważne pod względem naukowym uogólnienia. Można byłoby np. na tej drodze opracować patologję rasy żydowskiej, która, sądząc z tego, co w tej sprawie dotychczas urywkowo wiemy, byłaby bardzo interesującą.

Ciekawą byłaby również szczegółowo opracowana patologja naszego ludu wiejskiego, który od wieków przymusowo jest skazany na odżywianie prawie wyłącznie roślinne. Nie ulega wątpliwości, iż takie odżywianie wpływa na usposobienie do chorób oraz na ich przebieg kliniczny. W czym się ten wpływ wyraża i w jakim stopniu, tego dziś jeszcze lekarze nie wiedzą, z braku danych szczegółowych.

Nie posiadamy również prawie żadnego materjału do geografji patologicznej naszego kraju. Wiemy tylko ogólnikowo, że wskutek rozmaitych warunków geologicznych, klimatycznych i kulturalnych, związanych ze sposobem życia mieszkańców, rozmaite miejscowości muszą wykazywać rozmaitą procentowo ilość zapadań na pewne choroby. Szczegóły faktyczne są jednak zupełnie nieznaczne. Wiadomo np., że wole i zimnica są ściśle związane z warunkami miejscowymi; ale nawet co do tych chorób niepodobna oznaczyć wszystkich miejscowości w kraju, gdzie choroby te występują endemicznie, gdyż brak jest odpowiedniego materjału faktycznego.

Lekarz prowincjonalny nie może więc się skarżyć na brak materjału i tematu do swej pracy naukowej. Ale czy w swej pracy naukowej ma poprzestać tylko na zagadnieniach patologicznych i na gromadzeniu oraz opracowywaniu obserwacji lekarskich? Poza tą dziedziną specjalną dr. Biegański wskazuje kolegom prowincjonalnym jeszcze inne zadania. A więc, jeżeli lekarz zamieszkuje w miejscowości, oddalonej od niwelujących wszelkie odrębności ośrodków przemysłowych i odznaczającej się pewnymi właściwościami etnograficznymi i kulturalnymi, — odpowiednim przedmiotem mogą być badania antropometryczne i folklorystyczne.

Ciągła i blizka styczność lekarza z ludem ułatwia dokonywanie odpowiednich pomiarów, zbieranie podań i przesądów, pieśni, przysłów, obserwację zwyczajów i t. p. W innych okolicach odpowiedniejsze mogą być poszukiwania florystyczne. Przykładem dla wielu lekarzy może służyć pod tym względem zmarły niedawno na Ukrainie dr. Błoński, który pomimo krótkiego życia, zjednał sobie bardzo poważne imię śród nielicznych badaczów flory krajowej.

Referaty d-rów Br. Sawickiego i W. Biegańskiego łącznie dają obraz warunków potrzeb i braków w pracy naukowej lekarzy polskich na prowincji, a uwagi i wskazówki referentów zasługują na mocne

---

Panią Marję Rychliński zobaczył kiedyś u znajomych i uderzyła go jej twarz piękna o niezwykle szlachetnym wyrazie. Tak rzadko widuje się twarze piękne o wyrazie szlachetnym! Podobała mu się ogromnie i zapragnął odegrać w jej życiu rolę kochanka.

Zrazu pani Hodiczowa zachowywała się odpornie. Listy Stefana pozostawiała bez odpowiedzi; jego wyznania starała się ostudzić śmiechem lub karciła je słowem napomnienia. Rychliński, przejąwszy się rolą, niepowodzeniami się nie zrażał.

Wreszcie stało się to, co dzieje się zwykle, gdy jedna strona gra słabo i ma liche karty, druga przeciwnie: ze znajomością gry łączy obfitość atutów. A Rychliński tyle ich miał w swojem ręku! Uroda, inteligencja, dowcip — a nadewszystko umiejętność obchodzenia się z tymi darami: talent aktorski.

Oto pewien ustęp z jego listu:

„Jestem jak człowiek spragniony światła, co, ujrzawszy zdaleka słońce, biegnie doń, aż napotka na drodze swojej — przepaść.

„Zmierzył przepaść wzrokiem i wie, iż jest ona nadto szeroka na jego kroki. Jeśli skoczy — runie z wysokości i zginie. O tem — wie! Cóż pozostaje uczynić!? Cofnąć się chyba!? Ale ten człowiek nie cofnie się — nigdy! Ja go znam; o! znam! On skoczy! Co tam! A jeśli się uda!?"...

Pani Marja została poruszona tym listem do głębi. Czytała go po kilka razy na godzinę i za każdym razem oblewała go świeżemi łzami.

Odtąd wizje przypuszczalnych męczarni kochanka nie dawały jej ani chwili spokoju. Wyobrażała go sobie siedzącego w szynku, na skraju miasta pijanego, w łachmanach; to znów — uwięzionego w zakładzie dla obłąkanych, jak biega po pokoju i woła: „Maryś, pani Marjo! (Och! jak on tkliwie wymawiał to imię!) Lub z przestrzeloną głową i z ręką na sercu (koniecznie — na sercu!) Dręczona ciągłemi obawami i wyrzutami sumienia, postanowiła ratować ginącego zapewne kochanka.

„Niech się dzieje wola nieba czy piekła" — pisała do Rychlińskiego —: „tak dłużej żyć nie mogę i nie chcę. Jam twoja! Na rozwód się godzę. Byle się „on" zgodził!"...

Zaczem Rychliński odpisał:

„Przyjdź, Słońce moje!"

A gdy przyszła —

— Zawiozę Cię do mojej matki — mówił — i pozostaniesz tam do czasu uzyskania rozwodu.

podkreślenie i baczną uwagę ogółu lekarzy naszych, pracujących na prowincji.

W związku z kwestjami powyższymi pozostaje poruszona przez d-ra Jarosińskiego sprawa stanowiska i bytu lekarza wiejskiego u nas.

„Ideałem lekarza jest lekarz wiejski, który, o ile jest człowiekiem idei, może szerzyć śród ludu postęp i kulturę". Pożądanym jest, ażeby w naszym kraju, w którym ciemnota ludu jest jeszcze znaczna, po wsiach osiedlali się lekarze i przez stałą styczność z ludem usuwali przesądy.

Większość lekarzy naszych po skończeniu uniwersytetu pozostaje na stałe w Warszawie, wskutek czego na prowincji mamy brak lekarzy. O ile w Warszawie przypada jeden lekarz na 1000 niespełna ludności, to na prowincji mamy jednego lekarza na 13,000, a są powiaty, w których jeden przypada na 30,000 — 40,000 mieszkańców.

Dużo jest powodów, dla których lekarze stronią od prowincji: 1-o Lekarz na głębokiej prowincji jest stałym pogotowiem ratunkowym i pracuje niesystematycznie, 2-o Pracuje przeważnie pośród otoczenia mało kulturalnego, 3-o Zarabia stosunkowo niewiele, 4-o Śmiertelność pośród lekarzy małomiasteczkowych jest znaczna i wielu z nich umiera w młodym wieku na dur, 5-o Lekarz prowincjonalny, pozbawiony dobrze urządzonych szpitali i ośrodków ruchu naukowego, pozostaje przez całe życie lekarzem mniej sprawnym w wykonawstwie lekarskim, lekarzem drugiego rzędu.

Taki stan rzeczy wypływa z ogólnych złych warunków kraju, z ubóstwa ludności, z małej kultury prowincji. Tych warunków lekarze zmienić nie mogą. Powinni jednak dążyć do polepszenia bytu w zakresie swojej możliwości: 1-mo powinni podnieść poziom swego wykształcenia zawodowego, gdyż lud nasz wymaga lekarzy uzdolnionych, 2-do powinni współdziałać w tworzeniu kas samopomocy, kas pomocy lub wzajemno-ubezpieczeniowych, 3-o powinni brać żywy udział w podniesieniu zdrowotności kraju i we wszelkim ruchu kulturalnym.

W sprawie bytu lekarzy prowincjonalnych zabierał głos także dr. Józef Zawadzki z Warszawy, który nawoływał do ubezpieczania się lekarzy na życie oraz od kalectwa i śmierci z wypadku a nadto do udziału w kasie chorych, która wkrótce powstanie.

O stanie materjalnym lekarzy w Królestwie Polskim mówił szeroko dr. S. Bronowski.

Poruszono na zjeździe także sprawę organizacji pomocy lekarskiej dla ludu. Referent dr. K. Lidmanowski radzi, ażeby lekarze prowincjonalni, szczególnie zamieszkali po osadach i mniejszych miastach, gdzie niema szpitali, pomyśleli sami o stworzeniu chociażby w najętym domu, czasowego przytułku dla chorych wieśniaków, niemających możności leczenia u siebie w domu. Takie zapoczątkowanie ułatwi w przyszłości powstawanie małych szpitalików, które jedynie mogą mieszkańcowi wsi nieść rzetelną pomoc w jego chorobie.

Mówiono dużo o roli i zadaniach lekarza fabrycznego (dr. K. Okuszko, dr. S. Skalski); o stanie rzeczoznawstwa sądowo-lekarskiego na prowincji (dr. B. Łuczycki) i t. d.

Stosunkowo zbyt mało poświęcono uwagi walce z gruźlicą środkami społecznymi, t. j. przy współudziale samopomocy społecznej, na którą jedynie można liczyć, przy braku środków państwowych lub krajowych. Natomiast dużo mówiono o walce z tą plagą ludzkości na drodze badań naukowych i stosowania ich w praktyce. W tej dziedzinie bardzo ciekawy był odczyt d-ra H. Fidlera z Radomia.

Wobec jednak wogóle wybitnie społecznego charakteru 1-go Zjazdu lekarzy prowincjonalnych, spodziewaliśmy się w tej mierze czegoś więcej: jakiejś zachęty, jakichś projektów w sprawie zakładania lig przeciwgruźliczych, na wzór warszawskiej i łódzkiej.

Wogóle stronie profilaktycznej zadań lekarzy na prowincji nie dano wybitnego miejsca, może dla tego, żeby nie współzawodniczyć z przyszłym zjazdem higjenistów. Jeżeli tak jest istotnie, to wzgląd ten nie miał najmniejszej racji.

Podkreśliwszy te drobne zarzuty, musimy podnieść całą doniosłość zjazdu pod względem społecznym i naukowym. Dziewięćdziesiąt referatów świadczy, że śród lekarzy prowincjonalnych jest znaczna liczba pracujących poważnie.

Owocem I-go Zjazdu jest stała komisja Zjazdów lekarzy Królestwa Polskiego. Zjazdy te postanowiono zwoływać co trzy lata. Drugi zwołany będzie w Lublinie.

Za urządzenie Zjazdu pierwszego wielkie uznanie należy się komitetowi organizacyjnemu z łona łódzkiego Towarzystwa lekarskiego. Na czele tego komitetu stał niestrudzony przewodniczący zjazdu, dr. Seweryn Sterling.

Zenon Pietkiewicz.

— Twoja matka mnie wypędzi...

— Matka moja tego nie zrobi—rzekł z mocą. — Nie zrobi przedewszystkiem dla tego, że mnie ogromnie kocha. Moje szczęście jest dla niej zarówno drogiem jak dla mnie samego. — Zobaczysz, zobaczysz... Ty... Ty... — kończył głosem zduszonym przez budzącą się namiętność.

Pani Hodiczowa opuszczała Stefana z zamiarem zażądania od niego powiedzenia mężowi całej prawdy i rozwodu.

— Powiem mu, że go nie kocham, że kocham Ciebie...

— A jeśli Cię zatrzyma przemocą — zaniepokoił się Rychliński.

— Nie obawiaj się, — zresztą powiem mu, że już należę do Ciebie — dodała wstydliwie.

Nazajutrz odebrał list .. fatalny.

Wszystkie szczegóły stosunku jego do pani Hodiczowej stawały mu w pamięci teraz, kiedy, po wyjściu z biura, posuwał się wdłuż Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Swiatu ku Alejom Ujazdowskim.

W pewnej chwili mijał Koszykową.

Był wieczór grudniowy. Od Belwederu dął wiatr mroźny i suchy, przenikający do kości. Niebo było pogodne i gwiaździste. Śnieg skrzypiał pod nogami, jak jeśli kto czemś ostrem przesuwa po szkle, — boleśnie dla ucha. Po obydwóch stronach ulicy jarzyły się dwa rzędy świateł elektrycznych, rzucając naokół wielkie i jasne plamy.

„Po tem, co zaszło — myślał — pozostaje mi jedno"...

Sięgnął do kieszeni, gdzie nosił zwykle rewolwer i wyjął go.

„A przecież" — myślał — „powiedziałem prawdę: ten człowiek nie cofnie się: ja go znam; o, znam!"

Zaśmiał się chrypliwym, nieszczerym śmiechem

Strzał padł...

. . . .

Tego samego wieczoru Rychliński został odwieziony do szpitala Świętego Ducha, a w dwa miesiące potem czynił usilne starania o przyjęcie go na scenę.

Z pola walki.

Lwów, 20 czerwca.

W chwili, kiedy to piszę, rezultat wyborów w Galicji Wschodniej nie jest jeszcze znany całkowicie, a w Galicji Zachodniej jutrzejsze wybory ściślejsze mogą dać nowe wyniki. Mimo to jednak dziś już można skonstatować:

1) klęskę narodowych demokratów, którzy poprzednio mieli 17 posłów, a obecnie mieć będą w najlepszym razie 8;

2) tryumf socjalistów, polscy zdobyli bowiem już napewno w Galicji Zachodniej dwa mandaty (mogą w niej uzyskać jeszcze dwa, przy wyborach ściślejszych), w Galicji zaś Wschodniej utrzymali dotychczasowe, a nie jest wykluczone, że rusińscy uzyskają o jednego posła więcej niż poprzednio;

3) tryumf młodego Stronnictwa Postępowego, które we Lwowie przeprowadziło już posła Lisiewicza, a przy wyborach ściślejszych przeprowadzi napewno jeszcze — Śliwińskiego;

4) wzrost liczby posłów konserwatywnych z Galicji Zachodniej przeważnie, wśród których znajdują się ich najzdolniejsi ludzie.

Wbrew napaściom narodowych demokratów, dr. Leon Biliński przeszedł w Rzeszowie. Będzie on prawdopodobnie prezesem Koła polskiego, a po upadku Bienertha może prezesem ministrów, o ile stosunki wewnątrz w Kole zmienią się na lepsze.

W Galicji Zachodniej przeszli jeszcze inni wybitni konserwatyści, jak minister Zaleski, Jaworski, Rosner. Są to ludzie bardzo zdolni, obeznani dokładnie z mechanizmem państwowym Austrji. Rosner jest szefem jednej z sekcji w ministerstwie spraw wewnętrznych. Ci posłowie nie są wstecznikami, lecz raczej umiarkowanymi konserwatystami. Oczywiście stawiać będą opór różnym demokratycznym reformom, ale nie bezwzględny jak to robią podolacy; naturalnie, ubolewać należy, że weszli oni w liczbie dość znacznej, zawsze jednak pamiętać trzeba, że nie są już w stanie sami rządzić, że więc muszą ustępować demokratom i ludowcom.

We Lwowie dotychczasowi posłowie socjalistyczni, dr. Diamand i Hudec przeszli ogromną większością głosów, Wyrostek zaś i Hausner uzyskali poważną mniejszość głosów.

Minister Głąbiński otrzymał tylko stosunkowo małą przewagę nad socjalistą Wyrostkiem.

Dotychczasowy poseł Moraczewski ze Stryja socjalista) przechodzi do wyborów ściślejszych z sjonistą, i będzie wybrany. W Przemyślu wybrany został, jak i przed czterema laty socjalista dr. Lieberman.

Ernest Brajter „dziki" zwyciężył we Lwowie bar. Battaglję. Pan Stesłowicz dem. pol. wyszedł z Grodku i Sambora, a nar. dem. hr. Skarbek i dotychczasowy poseł z tego okręgu przepadł.

Członkowie Polskiego Stronnictwa Postępowego pp. Śliwiński i Lisiewicz wchodzą po raz pierwszy do parlamentu. Lisiewicz pobił przy wyborach narodowego demokratę Tomaszewskiego. Śliwiński uzyskał więcej głosów niż dwaj jogo kontrkandydaci Rydygier i Roszkowski razem.

Tak więc w stolicy kraju zwyciężyła myśl postępowa w szerokim znaczeniu tego słowa. Ta twierdza narodowej demokracji została zdobyta: na 7-miu posłów lwowskich, dwu tylko należy do nacjonalistów.

Wybór Lisiewicza i Śliwińskiego jest wspaniałym rewanżem za porażkę Pol. Str. Post. podczas wyborów do Rady miejskiej.

Rezultaty wyborów we Lwowie wywołały entuzjazm wśród licznych tłumów publiczności. Socjaliści urządzili wspaniałe pochody po mieście, wznoszono okrzyki na cześć posłów socjalistycznych i postępowych.

Ludwik Kulczycki.

Listy z Krakowa.

VI.

Dzień wyborów.

Oczekiwany gorączkowo przez stronnictwa, apatycznie przez publiczność, przyniósł dzień wyborów niebywałe napięcie akcji i podniecenie umysłów. Kraków zamienił się na jeden dzień, a może słuszniej powiedzieć, na jedno popołudnie, w wykrawek ruchliwego, tętniącego życiem ulicznem Paryża.

Wszystkie pięć okręgów miasta obsadzone były przez demokratów. Pod hasłem jedynem solidarności Koła polskiego, obrony rzekomej narodowego charakteru miasta, złączyli oni wszystkie stronnictwa pod swoim sztandarem. Zdawałoby się, że celem jest niedopuszczane do reprezentacji grodu niemców czy bodaj rusinów. Tymczasem nienarodowemi zwały się kandydatury dobrych Polaków jedynie dla tego, że stoją oni pod czerwonym sztandarem. Usiłowania najbardziej wytężone, znaczne kwoty pieniędzy, mobilizacja agitatorów z pośród młodzieży, wszelakiego pokroju hyen wyborczych, policja, wojsko skierowane zostały zwłaszcza przeciw wyborowi w dzielnicy Wesoła, gdzie kandydował długoletni poseł Ignacy Daszyński.

Okręgi inne były całkiem pewne. Kontrkandydat prezydenta Leo, W. Nartowski, zjawił się dopiero w ostatniej chwili; nie było żadnej możności, aby przeszedł. Pozwolono sobie nawet na figiel, stawiając humorystyczną kandydaturę handlarza starzyżny Gejera, któremu 200 żartownisiów ofiarowało swoje głosy. P. Zieleniewski, przemysłowiec, lubiany przez swoich robotników, dyrektor wielkiej fabryki maszyn, przeszedł bez trudności, ale i bez zapału. Największą liczbę głosów, 2992, otrzymał na Kaźmierzu dr. Adolf Gross, radykalny demokrata, który wstąpił do Koła polskiego i który swoją obietnicą przytłumił zabiegi separatystyczne syonistów. D-r. Gross zjednał sobie wyborców akcją skierowaną w żydowskich dzielnicach przeciw drożyznie mieszkaniowej. Zainicjował on budowę domów z taniemi mieszkaniami, a wreszcie przeprowadził pożyteczną ustawę funduszu pożyczkowego na budowę domów mieszkalnych dla uboższej ludności. Ustawa, jedna z niewielu doprowadzonych do sankcji cesarskiej przez ostatni parlament, stwarza fundusz 25 miljonów koron, przeznaczony na pożyczki udzielane przy budowie domów dla niezamożnej ludności, o mieszkaniach jedno, dwu i trzypokojowych Fundusz ten przy sfinansowaniu podniesionym być może do 200 miljonów a pożyczki udzielane aż do 90 proc. potrzebnego kapitału. Z ustawy tej zacznie korzystać między innemi krajami austryjackiemi i Galicja, a twórca jej pozyskał sobie naturalną wdzięczność swych wyborców.

W okręgu Nowy świat — Stradom głosy rozdzieliły się pomiędzy kandydatem socjalistycznym dr. Markiem, a demokratą umiark. właścicielem Nowej Reformy dr. Doboszyńskim.

Powróćmy jednak na Wesołą, gdzie chwilami było naprawdę wesoło, a chwilami znów groźnie i smutno.

Socjaliści wbrew zwykłej polityce chełpliwej, a głośnej, agitowali po cichu skutecznie. Piękne damy przez całe tygodnie przed 13 czerwca obchodziły wyborców, donosząc im pisma agitacyjne, słowa zachęty, przekonywając, podnosząc zasługi i nieskazitelny charakter kandydata. Sposoby to dozwolone, i praktykowane w kraju parlamentaryzmu par excellence w Anglji. Pieniędzmi, przekupstwem nie działano; kupowanie głosów, których ceny dochodziły od 6 do 80, a może i 100 koron za jeden, pozostawiono stronie przeciwnej.

Wynikł z tej podwójnej i różnorodnej agitacji przedewszystkiem olbrzymi udział wyborców. Na 3163 uprawnionych do głosowania przystąpiło do urny 2733. Wielu niepewnym legitymacji nie doręczono, dopominać się trzeba było na zasadzie paszportów wojskowych, dowody meldunkowe, czy inne nie wystarczały. Brakujących mieli zastąpić wyborcy najpewniejsi, zamieszkali, jak fama niesie, na cmentarzu rakowickim.

Potężnym jest parlamentaryzm, skoro potrafi zmobilizować nawet nieboszczyków. Silniejszą jednak od głosów z tamtego świata okazała się śmieszność. Dyrektor Petelenz bowiem, długoletni zdolny i użyteczny pedagog niemiał uzdolnień politycznych. Zaplątawszy się w tradycjonalną politykęKoła polskiego, które zawsze popierało rząd i jegozamierzenia, oświadczył się gorąco w delegacjach austryjackich za budową drednoughtów, jak gdyby one pływać miały po niedoszłych i utrąconych jednocześnie kanałach galicyjskich.

Zjednało mu to przydomek admirała i jaskrawo wykazało jego niezdolność polityczną.

Taki przeciwnik jak Daszyński, popierany serdecznie przez dziesiątki tysięcy oddanych sobie ludzi, którzy nie zwątpili nigdy, że będzie on obrońcą każdej ich krzywdy, potężny trybun ludowy, bystry polityk, o którym wie każdy, że życie całe poświęca krajowi, jakkolwiek pracuje po za jego urzędową reprezentacją, musiałby być zwalczany przez osobistość równej siebie miary i popularności. Takiej jednak nasi demokraci nie mają.

I oto Daszyński wyszedł, jak wiadomo i w wiejskim okręgu i na Wesołej w Krakowie. Sądzę przecież, że żaden z jego demokratycznych przeciwników, jeżeli tylko są szczerymi demokratami nie zaprzeczy, iż jest on w parlamencie potrzebny, ba—niezbędny. Nie zwalczano go też wcale w demokratycznej prasie, nie było insynuacji, oszczerstw, zarzutów. Te zostały już dawniej wyczerpane i odparte.

Walka stronnictw i idei jest rzeczą normalną i świadczy o rozwoju myśli, o życiu duchowym i gospodarczym społeczeństwa, ale formy tej naszej walki świadczyły, że gdy z jednej strony społeczeństwo, a zwłaszcza robotnicze jego warstwy dorosły do samoobrony, to z drugiej nie cofano się przed brutalną przemocą. Szarża wojska wśród spokojnego, jakkolwiek oczekiwaniem podnieconego tłumu doprowadzić mogła do krwi rozlewu. I groźba ta wypowiedziana komisji przez zwycięskiego kandydata zmusiła ją po długim wahaniu do ogłoszenia rezultatu wyboru. Czy wcześniejsza rezygnacja bez wojska i postrachu nie byłaby czynem, świadczącym o poczuciu godności i prawa?

Rezultat wyborów krakowskich zmusza do zastanowienia się, czy zwyciężały osobistości, czy zasady? Przyznać trzeba, że każdy z wybranych przedstawia pewną siłę dla przyszłego parlamentu. Błąd popełnili bezprzymiotnikowi demokraci, że nie dość liczyli się z kwalifikacjami swoich kandydatów.

Ważne jest wprawdzie wyznawane przez kandydata credo polityczne, ale z mojego bezpartyjnego stanowiska twierdzę, że ważniejszymi od niego są uzdolnienia i zalety osobistości wybieranych. Na obcym zawsze mało przychylnym forum wiedeńskim miernoty umysłowe i moralne nic dokonać nie mogą.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

BADANIA NAUKOWE.

Cyfry i fakty Polski współczesnej w świetle badań.

(Z powodu książki p. I. Grabca: „Współczesna Polska w cyfrach i faktach". Kraków. „Życie".

II.

Jest to jednakże poniekąd mniej winą p. Grabca, niźli samego *założenia*. Podjąć się dziś bowiem, w dzisiejszym stanie nauk i praktyki społecznej, próby zestawienia „cyfr i faktów" współczesnej Polski i to zestawienie sumarycznego a krytycznego, w najważniejszych chociażby gałęziach gospodarstwa i kultury polskiej, praca to nad siły i wiedzę jednego człowieka; nastąpić to może jedynie w *wydawnictwie zbiorowym*, dokonanym pod redakcją jednolitą, więc w jednych rękach spoczywającą. Uważamy za zasadniczy brak naszej współczesnej naukowej i politycznej literatury społecznej, że nie zdobyła się ona za poparciem ciał naukowych, jak Akademja Umiejętności i inicjatywą a pomocą materjalną jednostkową na opracowanie systematyczne poszczególnych gałęzi życia społeczno-gospodarczego spółczesnej Polski. Właśnie w kwestji, którą zajmowaliśmy się wyżej, kwestji parcelacji polskiej w ogóle, brak nam pracy — obejmującej bodaj ten materjał, jak w książce doskonałej i dokładnej dr. J. Rozwadowskiego o parcelacji w Poznańskim. Galicja i Królestwo czekają jeszcze na opracowanie w tej mierze, pomimo zresztą skądinąd dobry referat prof. Grabskiego, i inne pomniejsze prace. Okazuje się, że w dziedzinie piśmiennictwa społeczno-gospodarczego u nas mimo niewątpliwe postępy w czasach ostatnich, są luki tak zasadnicze, że o istnieniu ich w tych samych warunkach w takich Niemczech np. kraju monografji byłoby niepodobna i wprost pomyśleć. Dziwić się temu nie można. Jedyne dwie uczelnie polskie najwyższe, uniwersytety lwowski i krakowski traktują nauki społeczne po macoszemu; materjał słuchaczy na wydziale prawno-politycznym składa się przeważnie z kandydatów na posady rządowe, krajowe lub zawodów wolnych (adwokatura); świadczy to wprawdzie doskonale o przyszłym ciele urzędniczym polskim, które na ogół w Galicji posiada względnie wysoki stopień ukształcenia prawnego (sądy, prokuratorje skarbu np.) ale bardzo niepochlebnie o *nauce* prawno-społecznej, która też u nas liczy niewielu, bardzo niewielu pracowników.

Stoi ten znamienny fakt w rażącej i smutnej sprzeczności z wybujałą u nas grafomanją literacką, od której redakcje pism polskich wprost opędzić się nie mogą. Za to na opracowanie całego mnóstwa kwestji monograficznych z zakresu badań gospodarczych, u nas ludzi nie ma, choćby dlatego, że praca ta wymaga czasem kilku lat rzetelnego i planowego wysiłku, o którym się najczęściej nie wie i nie mówi w „kołach literackich", zajętych nową polemiką, nowym wierszem, nowym choćby talentem. Brak u nas po stronie publiczności polskiej głębszego zainteresowania się literaturą naukowo-publicystyczną z zakresu społecznych nauk sprawia, że pracujących w nich jest niewielu, ciężko walczących o możność pracy i dostępu do materjałów, [1]) że niezwykle mało u nas wychodzi prac monograficznych i syntetycznych, rzeczywiście dokładnych i ze znajomością rzeczy pisanych. Utrudnia wielce brak literatury w tej mierze dalszą

[1]) Władze rządzowe i krajowe (a nawet instytucje prywatne) rozporządzające masą materjału, niechętnie dopuszczają doń osoby „obce", t. j. nie urzędników swoich.

twórczość naukową; piszący bowiem pracę naukową monograficzną i chcący korzystać z prac poprzednich, napotyka na idealną prawie... pustkę prac polskich, tak, iż musi materjał opracowywać samoistnie, przy pomocy źródeł niemieckich i wogóle niepolskich. Pracując obecnie nad kwestją postępowania spadkowego dla własności chłopskiej i dzieleniem gruntów, drobniejącym tę własność ad absurdum, kwestją dla ustroju własności ziemskiej niezmiernie w Galicji ważną, miałem sposobność przekonać się, że jest ona w fachowej literaturze polskiej prawie nieopracowaną i zaledwie naszkicowaną, podczas gdy niemiecka np literatura, opracowująca zupełnie zresztą odmienne stosunki w tej samej kwestji, ma za sobą gruntowne i rzetelnie naukowe monografje i systemy.

Więc zdaniem moim, praca naukowa i publicystyczna także winna zwrócić się u nas w całej pełni ku zaniedbanej literaturze społeczno-gospodarczej. Nie byłoby to zresztą zbytnio trudne. Profesorowie uniwersytetów polskich, wykładający nauki społeczne i prawne „wyłowią", prawda, że z trudem, kilku lub kilkunastu słuchaczy, którzy by mogli być doskonałą pomocniczą siłą w zbieraniu materjałów dla opracowania poszczególnych gałęzi życia naszego społeczno-gospodarczego.

Opracowaniem tym mogliby się zająć ludzie pracujący naukowo, urzędnicy praktycy, więc sędziowie, przeprowadzający pertraktację spadkową włościańską, urzędnicy biura statystycznego przy wydziale krajowym, którzy opracowali już wiele stosunkowo dziedzin, dając nieraz bogaty materjał faktyczny, etc. etc. Wydawnictwo takie, skupiające w sobie cały szereg osób, pod kierownictwem jednym, mogłoby dopiero dokonać wielkiego i wieloletniego dzieła, zebrania *cyfr i faktów* spółczesnej Polski w jedną spoistą całość, której poddziałem byłyby szczegółowe monografje z najważniejszych kwestji i dziedzin wiedzy i praktyki społecznej. Próbę takiego, na całą skalę prowadzonego wydawnictwa dają np. historyczne prace pod kierunkiem prof. Askenazego przez młodych historyków pisane, a opracowujące systematycznie cały szereg ciekawych i nieznanych szerszemu ogółowi faktów i przeżyć z przeszłości, jak również przeważnie statystyczne, ale często i ogólniejsze opracowania przez Biuro statystyczne wydziału krajowego, dokonywane spólnie i zbiorowo.

Dopiero, gdy będziemy mieli w ten sposób lub inny, ale naukowy zawsze opracowane monografje i systemy, ujmujące „cyfry i fakty", współczesnej Polski, ale także oceny i wnioski i wskazania na przyszłość, dopiero wtedy *popularne* wyimki, streszczenia, łatwe i ładnie „podane" szkice, opierając się na materjale naukowym i nie odchodząc od niego, mogą oddać rzetelną przysługę społeczeństwu, zaznajamiając z zagadnieniami społecznymi tych także, którzy od studjów specjalnych stoją zdaleka i nie mogą z jakichkolwiek względów pozwolić sobie na zapoznanie się z obszerną i gruntowną literaturą. Przedtym, t. j. przed naukowym opracowaniem materjału społeczno-gospodarczego popularne prace będą jeno chaotycznym zestawieniem mniej lub więcej przypadkowo otrzymanych wiadomości i faktów.

Pan Grabiec niewątpliwie osiągnął jedno: poruszył w *niewielkiej* swej książce *wiele* istotnych zagadnień i bolączek społecznego życia Polski; rzecz prosta, że nietylko ich wyczerpać, ale nawet *ująć* nie mógł, jakeśmy to widzieli w kwestji parcelacji, o której p. Grabiec *napomyka* jeno, a którą mógł opracować znacznie rzetelniej, gdyby się był z kwestją zapoznał lepiej i odnośną literaturę, skąpą zresztą, przestudjował. Jest to zaś kwestja, której pominąć mu nie wolno było pod żadnym warunkiem. Nie piszemy tu o książce p. Grabca, a z *powodu* książki jego; to nas uwalnia od dalszej oceny zresztą z niewątpliwym ale ntem i życiem napisanej rzeczy tego autora.

Wolelibyśmy jednak, aby u nas „syntez narodowych", efektownych zestawień cyfr i faktów spółczesnej Polski i t. d., nie opierano... na lodzie, t. j. z jednej strony na .. braku dotąd fachowej literatury, lub co gorzej, naskutek nieobeznania się gruntownego z materjałem... na własnej niewiedzy. Rozumiemy najzupełniej, że dziś wskutek specjalizacji badań, trudno jest objąć materjał w całości i samodzielnie, ale właśnie popularne, niesamodzielne zestawienie takich „faktów i cyfr" będzie najzupełniej wystarczające, jeśli oprze się na badaniach gruntownych przez „specjalistów" przedsięwziętych. Ale p. Grabiec niesamoistym w opracowaniu nie jest, owszem znać w wielu względach w książce jego samodzielne studja i oceny, mam mu tylko za złe, że śpiesząc się z książką, przerastającą jego siły i wogóle przedwczesną o zakresie olbrzymim i dotąd niewyzyskanym z konieczności popaść musiał często w niedokładności, frazeologję i pominięcie rzeczy, niczym nieuzasadnione.

Sądzimy więc po tym, cośmy powiedzieli, że jeszcze „wiele wody upłynie", nim będziemy mieli istotny *przegląd* cyfr i faktów spółczesnej Polski, że przedtym czas jeszcze będzie na szereg nieopracowanych dotąd monografji, których potrzebę uczuwa każdy, kto zjawiskami społecznymi interesuje się żywiej i istotniej.

Dr. Leon Biegeleisen.

KRYTYKA.

Z Teatru.

Bóg Wojny — epizod Napoleoński z zimy r. 1812. Napisał Adolf Nowaczyński. (Teatr Bagatela.)

Przewaga ironji nad innymi uczuciami znamionuje często umysł współczesny. Zbyt wielu doznał on katastrof, zbyt wielu pozbył się złudzeń, by nie utworzyła się próżnia, którą teraz usiłuje się zapełnić gryzącą, a jednak sprawiającą pewną cierpką rozkosz ironją. „Bóg Wojny" — jest również kanwą, na której rozsnuwa swą cienką ironiczną przędzę Nowaczyński. Przędza osnuwa wszystkie osoby epizodu — nie wyłączając tych, którzy jak baron de Pradt lub Stanisław Kostka Potocki są poniekąd szlachetnymi rezonerami i niejedną słuszną prawdę wypowiadają w oczy Napoleonowi. Przez wprowadzenie Napoleona innym osobom epizodu dzieje się krzywda, gdyż ci ludzie, mniejsi od niego, w porównaniu z nim karleją jeszcze bardziej: to jest pierwszy skutek ironiczny, wypływający z natury rzeczy, może nawet niezupełnie zgodnie z intencjami autora. Zbyt mocno utrwalona jest w wyobraźniach wielkość Napoleona, by ukazywanie jego przywar i małostek mogło mu naprawdę zagrażać. Zachodzi tu bowiem taka okoliczność, że epizod Nowaczyńskiego staje się w oczach widzów tylko przyczynkiem do charakterystyki boga wojny, lecz nie jedynym źródłem poznania. Widz śledzi z zapartym oddechem każdy gest Napoleona, czeka na każde jego słowo... I cóż widzi? Człowieka o dziwnej wyjątkowej organizacji, którego bezprzykładna klęska nie złamała, który rzuciwszy w paszczę molochowi zniszczenia trzystotysięczną armję, chce nowych armji i nowych zwycięztw. Łamie się on, wątpi, chwyta go za gardło dzika rozpacz, że może szczęście go opuszcza, doznaje halucynacji, lecz się opanowywa, staje znów twardy, rozkazujący, niezłomny. Widzi się go w epizodzie Nowaczyńskiego jako szorstkiego żołnierza, opowiadającego z rubasznym śmiechem ordynarne anegdoty obozowe, jako szydercę, pokpiwającego z królów z bożej łaski, podczas gdy on wszystko sobie tylko zawdzięcza. Widzi się również, że w planach

tego człowieka Polacy nie byli wcale ustawieni w pierwszym rzędzie — jako wybrańcy z racji męztwa, którym szczególniejsza należy się nagroda, że raziło go i niecierpliwiło wiele cech natury polskiej — skłonność do afektacji, przesady, marzycielstwa, warcholstwa — a sam on z kolei obrażał uszy polskie twierdzeniem, że od samych Polaków zawisło dowieść, czy *godni są* być narodem samodzielnym.

W rozmowach z uczciwym baronem de Pradt, posłem francuskim w Warszawie, i elokwentnym wykształconym Stanisławem Kostką Potockim dał poznać Nowaczyński, jak trudno było tym ludziom, zapatrującym się zgoła inaczej na obowiązki człowieka i moralność, dojść do porozumienia z Napoleonem — tym uosobionym żywiołem, pędem, energją amoralną, która wyładowywać się musiała w wielkich katastrofach, dawała olbrzymie efekty dziejowe i tworzyła cuda, bo budziła z uśpienia drzemiące ludów energje. Potoccy, de Pradtowie i inni ludzie światli i uczciwi, żądając od Napoleona gwarancji, przyrzeczeń wdzięczności, słusznego zajęcia się losem nieszczęsnego kraju nie rozumieli tej straszliwej natury ekspansywnej, dla której cała Europa była kretowiskiem tylko, w której planach były dalekie egzotyczne Indje, podbicie Azji... państwo od oceanu do oceanu. Zetknięcie się natur tak niepodobnych krzesze bezwątpienia iskry głębszej ironji — poza kanwą słusznych utyskiwań nad oschłością korsykanina. Poza tym Nowaczyński ukazał Napoleona w chwili wielkiej katastrofy, nad brzegiem przepaści, kiedy on sam lepiej niż inni widzi, że z wielkiego zdobywcy może się stać rozbitkiem, jeńcem, istotą śmieszną, zależną od wszystkich, opuszczoną przez wielu, ośmieszaną przez małych szczęśliwców, wzgardzoną przez dotychczasowych pochlebców i sławicieli. Napoleon widzi straszliwą kruchość swej sławy... wszelkiej sławy człowieka... Fanfary, które grzmiały mu w uszy, powiewy zwycięskich sztandarów mogą zamilknąć, rozledz się mogą szydercze piszczałki klownów, urągających powalonej, skazanej na jałową bezczynność sile... Powtarza on kilkakrotnie swój słynny akord: „Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas — ironizując, że sam jest człowiekiem tylko... niestety!

Obok znakomitej sylwety boga wojny — dał Nowaczyński żywą, niezmiernie charakterystyczną postać Rozalki Dietrychówny, która odważnie staje twarzą w twarz z Napoleonem i ze stanowiska obrażonej moralności rzuca mu w oczy gorzkie zarzuty. Ma ona również swą siłę, swój wdzięk, swą pozę bohaterską, swą nieustraszoność wobec Minotaura. Jest zapewne w tej dziewczynie coś dzielnego, może bohaterskiego, co prawdopobnie, skutkiem nieubłaganej ironji losów, zmarniało sobie powolnie w jakim bogobojnym gnieździe mieszczańskim — w związku z p. Przepiórkowskim albo innym poczciwcem. Kiedy Napoleon, obdarzywszy Rozalkę podarunkiem, odjeżdża — ona „z dzikim pośpiechem zrywa sztaby, otwiera okiennicę", by ujrzeć „oddział dragonów z pochodniami" i „skryte pośród nich karetowe sanie, wiozące Cezara". „Rozalka zdaje się, popłakuje — dodaje z wyrafinowaną ironją Nowaczyński... Może czuje, że straciła jedyną w życiu sposobność — zaważenia choć trochę na losach większego, niż inni, człowieka... I dlatego może, choć jako czysta dziewica nie mogła inaczej postąpić... płacze...

Sceny między Napoleonem a Rozalką są najlepsze w sztuce. Silny jest również epizod z obłąkanym Bartkiem, zwycięzcą z pod Rosequillas, który wśród zwycięztw rozum postradał, a jednak w tym ciemnym ogłupiałym chłopie wyje jakaś zapamiętała, ślepa na wszystko nawałnica uwielbienia względem imperatora.

Rzecz prosta, że najostrzejsze żądło bolesnej ironji zwraca się w istocie nie przeciw Napoleonowi, lecz przeciw narodowi polskiemu, tragicznie bezradnemu, porwanemu w wiry historji, broniącemu się bohaterskimi ofiarami przed zagładą, usiłującemu zaskarbić sobie wdzięczność człowieka, który nie był powołany do naprawiania krzywd dziejowych, a frazesami moralnymi szafował jedynie celem sprzężenia ze swym rydwanem ludzi, którzy inaczej okazać by się mogli mniej uległymi wobec jego ambitnych, olbrzymich zamiarów.

* * *

Gromiwoja — komedja Arystofanesa w przekładzie E. Cięglewicza. (Teatr Artystyczny).

Charakterystyczną jest ta nieskwapliwość, z jaką młody Teatr Artystyczny zmierza ku wystawieniu sztuki współczesnej — nawskroś współczesnej, to jest żyjącej dzisiejszymi zagadnieniami. Być może, że jest w tym trochę obawy względem samych siebie — niedowierzania, zwróconego ku sobie i ostatecznie pewna wątpliwość: czy zagadnienia epoki naszej nie są czasem bezbożnie rozdęte? Czy da się co naprawdę cennego, z własnego wyboru, wyrwać z potoku literatury dramatycznej naszych czasów — wobec ogólnego zasypania dziś dusz szczątkami wszelakich światopoglądów i biernej, jedynie wrażeniowej postawy inteligencji wobec życia. Czy w chaosie, jakim jest dziś człowiek, nie zatraciły się już stanowcze harmonijne linje piękna? Bądź co bądź — nie zaatakowano epoki odrazu i stanowczo, wydobyto z archiwum dzieła stare i starsze — Grabbe, Molier, Fredro, Arystofanes, aby nieco nauczyć dobrego smaku i zbożnego zamiłowania sztuki bez celów nieartystycznych. Zaznaczyć tu jednak wypada, że wszelkie sięganie do archiwów teatralnych celem pomijania współczesności i oddawania hołdu arcydziełom przeszłości jest tylko półśrodkiem. Oddanie sztuki Moliera lub Arystofanesa, choćby z ścisłością dekoracyjną dawnych wieków, jest jej zmodernizowaniem, eksperymentem, którego istotne znaczenie jest takie: jak też wygląda człowiek współczesny, kiedy zechce przebrać się za Francuza XVII stulecia lub Greka z 4 wieku przed Chrystusem? W najlepszym razie — aktor, dzięki erudycji własnej i reżysera, chce być świadomie tym, czym Grek był nieświadomie, czyli — doskonałość niemożliwa, bo „wszelkie działanie doskonałe jest właśnie nieświadome" (Nietzsche).

Tu należy pohamować złośliwy uśmiech i zapytać: Więc należy się wyrzec Szekspira, Ajschylosa, Arystofanesa i tylu innych? Byłoby to zaparcie się siebie zbyt okrutne. Dzieła przeszłych wieków są naszą własnością. Pamiętać jednak trzeba, że te dzieła są nam dostępne nie całkowicie, że tu za pomocą intelektu odbudowywać trzeba zaginione gatunki instynktów, odruchów, namiętności i że niema wcale podstawy do twierdzenia, że intelekt tu wystarcza i że, kto wobec arcydzieła Szekspira lub Arystofanesa czuje zaspokojenie wszystkich swych tęsknot, ten wobec epoki dzisiejszej jest uciekinierem.

Wprowadzając przy wystawianiu sztuk z dawnych wieków gust choćby największego erudyty-reżysera i współczesnego aktora — to jest jego gest, mimikę, temperament — modernizuje się sztukę staroświecką wbrew woli. Prócz tego modernizuje się ją jeszcze z własnej woli lub wbrew — pod naciskiem opinji, stając w obronie zagrożonej przyzwoitości. Arystofanes jest właśnie takim pisarzem, którego w wielu razach współczesne ucho znieść nie może. O najskrytszych dziś przejawach natury mówi z prostotą, niema podejrzeń względem instynktów. Upojony radością, śpiewa hymn na cześć bujności ciała i płci. Niema w nim zapędzonego w kąt milczącego pożądania, które nagle zaczyna szeptać łapczywie. Gdy się go wystawia, powtarza się na małą skalę cierpko-moralna historja z pamiętnikami Byrona, które Tomasz Moor uważał za konieczne spalić... dla dobra poety. Były zbyt otwarte. I Arystofanes jest

zbyt otwarty... Dziś trzeba go skracać, zatuszowywać rumieńce zbyt jaskrawe, osłaniać draperjami, wiązać nawet, aby nie wierzgał zgoła już nieprzyzwoicie. Słowem — trzeba go fałszować. I tu znowu występuje komizm: nasza epoka wywołuje z niezmierną erudycją ducha z wieków zamierzchłych, a gdy ten się zjawi, okazuje się zbyt straszliwy, szorstki, bujny, nieposkromiony, zbyt parskający i nieprzyzwoity. Trzeba łagodzić jaskrawość sztucznym przyćmiewaniem świateł, przyczem zostaje ta marna pociecha, że to, co się w ten sposób traci, jest... trywialne!

Pozostaje jeszcze troska o stylowość — to jest, by wszystko w dekoracjach, kostjumach, gestach, mimice, efektach było w dobrym smaku i możliwie.. greckie. Pod tym względem kierownicy sceny i aktorzy Teatru Artystycznego uczynili bardzo wiele! Wybrano „Gromiwoję" (Lysistratę), sztukę, która ze wszystkich dzieł Arystofanesa jest najbardziej może nieposkromiona i płocha, pełna okrzyków i podskoków pryapicznych. Dano ją w doskonałym tłómaczeniu E. Cięglewicza, illustrując niektóre momenty muzyką, umiejętnie archaizowaną przez p. Marczewskiego. Była to jedna z najaktualniej tętniących w Grecji starożytnej sztuk dramatycznych, bo Arystofanes, jeden z najzjadliwszych polemistów w świecie, ośmieszając Kleona, Sokratesa, Eurypidesa, dążył w swych sztukach do bezpośredniego celu —jak w Gromiwoi— do zawarcia przez Ateńczyków pokoju.

Cudowna świeżość i tęgość duszy attyckiej, jej olśniewająca wesołość, jej szczęście i zdrowie, jej figlarna prostota i naiwność tryskają, z „Gromiwoi". Ani śladu ponurej zaciętości, choć Arystofanes jest ciętym polemistą, tnącym przeciwnika w jambach niemiłosiernych. Kiedy jadowicie ośmieszył demagoga Kleona i lud ateński, przedstawiony w postaci zdziecinniałego starca Demosa, lud śmiał się sam z siebie i uwieńczył poetę. Grecy przychodzili na komedję, aby się śmiać i szaleć. Były to dla nich święta na cześć Bachusa. Sztuki Arystofanesa są szalejącą kaskadą przedziwnych igraszek i wyładowań żywiołowej bujności. Nie głosiły one przekonań, lecz rzucały tu i owdzie myśl uderzającą w wir widowiska. Tym się tłómaczy zarówno bezkarność Arystofanesa, niejednokrotnie pokpiwającego z bogów, jak przesada i uniesienie, z jakim chwali i wynosi lub strąca z piedestału. Jego wyniesienie kobiety w „Gromiwoi" nie wypływa z przekonań emancypacyjnych. Był Arystofanes konserwatystą, zwolennikiem starych Aten i gyneceów. Lecz w komedji, gdzie bucha wesołość, gdzie instynkt święci swój powrót na łono nieokiełznanej natury, każdy pomysł im przesadniejszy, tym lepszy, tym bardziej oszałamia, zachwyca i pewniej wiedzie do celu: do przekonania, że wojny trzeba zaniechać, bo osłabia Helladę.

Cóż zostało z Arystofanesa godnego uwielbienia po tylu stuleciach? Zostało objawienie bogatej, wszechstronnej siły życiowej, to wzbijającej się w dziedziny cudownej fantastyczności (jak w „Ptakach"), to nurtującej niziny ludzkich namiętności — siły, która obecnie jest równie pożądana, jak we wszystkich innych epokach, choć w każdej odmienną przybiera postać i kierunek. Budzi on tęsknotę do pełni życia, pragnienie tej pełni i świetności.

Leon Choromański.

Zofia Mellerowa: **Komedje i djalogi.** Z przedm. Cecylji Walewskiej, Gebethner i Wolff. 1911.

Wydanie pośmiertne przypomniało nam autorkę „Fałszywych blasków", „Stradujęl" „Wdowy z Efezu". Należąc do okresu Bałuckich, Blizińskich i t. d. i bliższych nam wiekiem Lubowskich i Zalewskich, była przedstawicielką teatru obyczajowo-realistycznego. Teatr ten u nas podnosił przedewszystkiem swojską poczciwość, lubił śmiech podszyty sentymentalną łezką, nie targał się nigdy na uświęcone autorytety, nie tykał, broń Boże, fetyszów zdawkowej moralności. Jeżeli coś ganił, to bardzo nieszkodliwie, nie burząc ani jednej z podstaw społeczeństwa. Dość, że nie mieliśmy wtedy pisarza scenicznego, któryby wystąpił rewolucyjnie, twórczo, a nie ślizgał się po powierzchni życia przeciętnie.

I Zofia Mellerowa obraca się również w zaklętem kole wyobrażeń przeciętnych. Kreśli więc typy zacnych Łukaszów i Jacentych, typy żon kochających zdrowe ideały i porzucających mężów, nie dość szlachetnych, nie dość dbających o doskonałość, i żon lekkomyśnych, niezdolnych do głębszych uczuć. Wszystkie kwestje znajdują łatwe rozwiązanie. Dość zmienić się jednostce, a wszelkie złe się odmieni. Cały ogrom skomplikowanych zagadnień i prądów społecznych nie istnieje zupełnie. Ten brak tła, brak rzucenia przeżyć jednostkowych na jakieś szersze podłoże, czyni sztuki pisarzy tego autoramentu dziwnie bezbarwnemi. Wydaje się, że człowiek z tamtej epoki żył tylko sobą, niepowiązany z rozwojem społecznym, że nie odbijało się w jego mózgu nic prócz najciaśniejszego kąta, w którym osobno bytował.

Potrzebna sanacja stosunków małżeńskich — niech się mężowie zmienią i już! A wszystkie stosunki, które wplątują się w drogi życiowe, wikłają je, wypaczają, uniemożliwiają rozwój charakterów—zdają się nie istnieć.

Sztuki te, należące już do historji literatury, mają w sobie jakiś ciepły ton, który zjednywa sobie czytelnika. Jest to właściwa Mellerowej dobroć, ukochanie życia i człowieka, lecz nie człowieka abstrakcyjnego, lecz realnej jednostki ze wszystkimi jej małostkami i wadami. I dlatego z utworów zgasłej autorki czytelnik wynosi jeszcze teraz śmiech serdeczny i miłe wzruszenie, jak z rozmowy z dobrą babunią, umiejącą z prawdziwym humorem opowiadać zajmujące dykteryjki ze starych czasów.

Savitri.

NA DOBIE.

Obrazki sielskie.

Gdy nasza opinja zachowawcza ironizuje na temat „postępu", ujmowanego niezmiennie w cudzysłów — tymczasem postęp, tak lekko wyobcowany za nasze granice wraca do kraju w kształcie rosnącego popytu na polskie ręce robocze, zdatne do pośledniejszych rodzajów pracy, których nie tyka już ludność krajów zasobnych i ruchliwych. Ostatnimi czasy zjeżdżają Niemcy do miast pogranicznych na jarmark, kupując tu bydło i... ludzi. Że tak jest, dowodem scenka, podpatrzona w Kolnie i przeniesiona na łamy tyg. *Społem* przez naocznego świadka,

Mówi Niemiec do chłopki:

— No, wie gieje matka, Nie mata tam jakiego *„siurka"* (chłopca).

— Siurka ta niema, dziwczak jest.

— No, jo, dziwczak, a stary?..

— A no, będzie miał około szesnastu lat.

— A pokażta no go? (ogląda).

— No, gut sztimt (dobrze pasnje). A siła chceta za niego?

Kobieta podryguje z radości i odpowiada z uśmiechem:

— Sto marek na lato, dwie spódnice nowe, jedną na codzień, dwie pary kłompów (drewnianych trepów), a na odchodnym dwie koszule nowe.

— Jo, to za dużo, sześćdziesiąt marek! No, dawaj rękę!..

— Zamało.

— No, chodźma do karczmy, zgodziema się.

Niemczysko poklepał silną łapą dziewoję po plecach, aż się echo odezwało i weszli wszystka troje do szynku.

Pito niemiecki "litkup" i dobito targu. Dziewczyna i matka wyszły podochocone, a nogi, odmawiające posłuszeństwa, świadczyły o sutej libacji.

— Mój panie, zapytałem. Czy to u was w Prusach taki wielki brak ludzi, że aż tu w Polsce szukać ich musicie?

— No, brak to nie. Jo, widzi pan, u nas dzieci muszą się uczyć, bo i co by to byli za ludzie, kieby nauki nie posiadali.? W naszych Prusach trzeba mieć „fersztand" (rozum). Dla tego, że nasze dzieci chodzą do szkoły, to do pasania bydła i świń musimy wynajmować na lato dzieci polskie".

Takie się dzieją sielanki na pograniczu, gdy brat sprzedanej dziewczyny dobywa węgiel w Pensylwanji, razem z murzynami, dla *American Steel Corporation* — a siostra może zdobi lupanar w Buenos Ayres...

„Co się stało?"

— Co się stało w Tomaszowie lubelskim? zapytują nasze pisma nawzajem, nie znajdując nigdzie odpowiedzi.

Śmieszna jest ta bezradność naszej prasy informacyjnej, która wie świetnie i opisuje dokładnie wszystko, co zaszło w departamencie dolnej Sekwany, ale dopiero po tygodniu czerpie z...warszawskiej prasy żargonowej wieści, dotyczące poważnych bardzo stron życia naszej prowincji.

Tym razem żydowski *Moment* pod jaskrawym nagłówkiem „Nieudana prowokacja" zamieścił artykuł tej treści:

„Przed pewnym czasem powstał w Tomaszowie lubelskim narodowy sklep kooperacyjny, który postanowił wyrwać handel z rąk żydowskich i dlatego prowadził z powodzeniem silną agitację śród ludności chrześijańskiej.

„Tutejsi żydzi przez to bardzo zbiednieli, a ponieważ głównymi działaczami sklepu narodowego są 4-ej bogaci chrześcijanie, adwokat, felczer, szewc i właściciel składu aptecznego, — żydzi przestali im dawać zarobki.

„Rozumie się, że wspomniane osoby pozostały bez kawałka zajęcia i zaczęły myśleć, jak się policzyć z żydami.

„Niedługo myśląc, wynajęli kilku wyrostków i zapłacili im 100 rb., ażeby połamali pomniki na rosyjskim cmentarzu, a potym złożyli winę na żydów. Wyrostki tak uczynili i zburzywszy około 30 grobów, udali się do naczelnika, któremu opowiedzieli, że „żydzi urządzili pogrom na rosyjskim cmentarzu"... Naczelnik, który jest tu już sporo lat i zna dobrze tutejszych żydów, — roześmiał się na to i zadał pytanie: Dlaczego na katolickim cmentarzu, który graniczy z rosyjskim, ani jednego pomnika nie zburzono?.. I kazał przeprowadzić śledztwo, którego rezultatem było że jeden chłop przyznal się i opowiedział całą historję. Naczelnik wtedy polecił aresztować wszystkich pomocników i tych, co namawiali do występkn i wytoczono im proces".

Tu *Moment* stawia kropkę i nie wraca już do tego tematu; pisma polskie słusznie wytykają system podobnie „dorywczych" informacji, które w sposób fatalny działać muszą na ciemne tłumy żargonowego żydostwa; ale — czy choć jedno z pism polskich ruszyło palcem, aby rzecz sprawdzić u źródła?

A przecież wyłożone zajście zdarzyło się pono w naszym kraju, blizko Lublina, nie zaś w Azji Mniejszej, widowni dość podobnych zatargów plemienno-wyznaniowych wśród Ormian i Kurdów.

Działo się to pono w Europie środkowej, co prawda, nie więcej nam znanej od pustyni Gobi, bo i któż widział kiedy Tomaszów lubelski? Kto wie, jakimi trafić tam szlaki?

W dość fantastycznej opowieści *Momenta* uderzają dwa fakty: *primo* panika, jaką budzi śród kramarzy żydowskich rozrost polskich sklepów współdzielczych, *secundo* — stary, barbarzyński, wżarty w dusze nałóg wciągania motywów religijnych do zatargów kupieckich i gospodarczych.

A nad tym wszystkim góruje niedbalstwo karygodne i płoche, z jakim prasa stołeczna odnosi się do takich zjawisk życia prowincjonalnego, zamiast badać je i wyświetlać przez specjalnych delegatów, co jest rzeczą poprostu zawodowej sumienności.

Możemy z góry zapewnić, że czytelnicy gazet warszawskich dowiedzą się bardzo szczegółowo, jaki był przebieg i rezultat zaburzeń szampańskich w dep. Aube, ale nie dowiedzą się nigdy, co się właściwie stało w Tomaszowie lubelskim.

Awjata.

Warszawa ma już swoje stałe „lotnisko" na polu mokotowskim, gdzie stanęła sumptem książąt Lubomirskich pierwsza w państwie fabryka aeroplanów „Awjata", zatrudniająca pół setki robotników i kilku zawodowych pilotów.

Niewątpliwie, dobytek to piękny, i szczerze można powinszować księciu Stanisławowi Lubomirskiemu, który się głównie doń przyczynił i dowiódł raz jeszcze, że miewa szczęśliwe pomysły i uczynną rękę.

Tym nie mniej, wobec pień chwalebnych naszej prasy, która swoim zwyczajem przebrała miarę w głupiutkim zachwycie, trzeba przypomnieć, że *Awjata* nie jest dziełem poważnym, że luk w naszym przemyśle nie wypełnia, będąc w gruncie rzeczy igraszką sportową, kaprysem książęcym, bezsprzecznie piękniejszym od innych...

Mimo niekłamanego naszego entuzjazmu wobec tak olbrzymiego wynalazku, jakim jest samolot, stwierdzamy bez wahania, że fabryka w rodzaju *Awiaty* najmniej odpowiada realnym potrzebom naszego przemysłu.

Cóżbyśmy rzekli o człowieku, pozbawionym spodniej odzieży i mimo to pełnym troski o połysk swego cylindra?

Możemy to samo powiedzieć o sobie. Dotąd nie mamy żadnej krajowej fabryki lokomotyw, ani wagonów, ani rowerów, ani samochodów, ani maszyn rolniczych, a przecież świat został już opasany gęstą siecią szyn, przemysł automobilowy przynosi miljardy, każdy robotnik i wieśniak na Zachodzie ma swój pneumatyk, a rolnictwo bez ulepszonych machin poprostu się nie opłaca.

Tych wszystkich arcyważnych przedmiotów powszedniego użytku nie umiemy jeszcze wyrabiać i jakoś nie słychać o żadnej inicjatywie w tej mierze.

Płacimy rok rocznie olbrzymi haracz przemysłom obcym i ta hańbiąca danina wciąż rośnie.

Za to wszystko — mamy pono latawce własnego wyrobu.

I nadal będziemy rowery sprowadzać z Rygi, samochody z Paryża, tramwaje z Berlina, pługi i żniwiarki z Nowego Jorku — ale aeroplany będziemy wyrabiać na miejscu, bo szczęśliwy traf zrządził, że znalazł się rozmiłowany w awjacji szczodrobliwy pan ..

Taką już mamy naturę!

Pomnikowa sprawa.

Nie sprawę pomnika Chopina mamy tu na względzie, lecz proces Wonlarlarskich i sp. niedawno za-

kończony dość surowym werdyktem. Historja powinna przekazać późniejszym pokoleniom tę sprawę skandalicznych zabiegów o testament ks. Ogińskich, jako jeden z najdosadniejszych rysów psychologji rządzącej w państwie biurokracji.

Lecz nie tylko *szczyty* weszły tu w grę, ale i *niziny*.

Jeśli postacie obu Wonlarlarskich górują na szarym tle jak dwa żywe posągi, to jednak cały tłum przyziemnych figurantów i pośredników złożyć się musiał na błotniste do tych posągów podstawy.

A w tym tłumie, niestety, w pierwszym szeregu widnieją ludzie o polskich nazwiskach, adwokaci, pokątni doradcy, księża i urzędnicy konsystorscy...

Wyrok ominął ich w większości wypadków, tym nie mniej legło na tych ludziach piętno powszechnej odrazy i milczącej pogardy, na którą zasłużyli zwłaszcza ci, co udziałem czynnym w brudnej sprawie fałszerstwa nie wahali podwójnie się skalać: jako Polacy i jako kapłani...

Okazało się, że w biurach konsystorskich i w mrokach krucht kościelnych na Litwie i w Cesarstwie lęgną się ostatnimi czasy potworne okazy tej specyficznej fauny, którą niedawno p. Al. Babiański opisał tymi słowy:

„Nie mówimy już o ks. Dąbrowskim, spaczonym moralnie i fizycznie, który poniesie stosowną karę. Ale nie możemy przecież przemilczeć tych, którzy nie trafili na ławę oskarżonych, a jednak ciężko ubliżyli godności kapłańskiej. Co można przytoczyć na usprawiedliwienie *ks. Pietkiewicza*? A *Propolanis* który zjeżdża do Petersburga, spożywa z Wonl. śniadanie u Donona, kolacyjki u Romanowa; odwiedza go w odświętnym stroju, zjawia się w roli suplikantu u biskupa, nareszcie otrzymuje za fatygę 800 rb. które wydaje na leczenie swej choroby, spowodowanej przez „ciężką przeprawę". A swoje zabiegi pokrywa litewskością, której wraz z p. Wonl. mają szczerze dopomagać. I czyni to szambelan papieski, niedoszły biskup sejnejski, który w przeciągu 10 lat na urzędzie sekretarza metropolity trząsł całą djecezją, wyprawiał orgje z urzędnikami, za co otrzymał 2,400 rb. dożywotniej pensji i wolny paszport.

A. ks. *Senkus*, któremu robił propozycję fałszerstwa ten sam Mankiewicz i który o tym półtora roku przemilczał?

A wreszcie *ks. Karewicz*, który zabiegami p. Wonl. pociągnięty był przez jego przyrzeczenie przejścia na katol.cyzm?. Przecież powinny na pewnym stanowisku być zakreślone granice lekkomyślności, których przekroczyć nie wolno. Ten pewny i smutny obraz został wytoczony na forum publiczne, jest on i będzie surowo komentowany i sądzony; obok niego nasze społeczeństwo przejść do porządku dziennego nie może i nie powinno".

Najnowszy wynalazek Edisona.

Zaogniona w ostatnich czasach kwestja mieszkaniowa w Warszawie domaga się szybkiego rozwiązania przy pomocy najnowszych środków techniki i ekonomji,

W szerokim pasie podmiejskim powinny corychlej powstać szeregi osad i miasteczek, złączonych z centrum gęstą siecią tramwajów i kolejek.

Tymczasem ta sprawa, mimo wyraźnej i naglącej potrzeby, nie wyszła z fazy mgławicowych projektów, wzmianek bałamutnych i prób dorywczych.

Zwracamy więc uwagę pp. techników, kapitalistów, dziennikarzy tudzież edylów miejskich na świeży amerykański system budowania domów, mogący mieć epokowe znaczenie. Tomasz Edison wpadł na pomysł *odlewania* domów z płynnego cementu w metalowych podwójnych formach. Pomysł gienjalny w praktycznej swojej prostocie.

Edison stawia dwie serje kesonów, które tworzą zewnętrzny i wewnętrzny zarys planowanego domostwa, według dowolnych kombinacji.

Pustą między niemi przestrzeń wypełnia się masą płynnego betonu, która szybko twardnieje i zasycha; zdjęcie kesonów jest już niewielkim zachodem — i oto gotowe mieszkanie, trwałe, wygodne i tanie.

Sporo takich domów „odlano" już w Ameryce, kilka stanęło w Holandji, w Santpoort, staraniem inż. Harmes'a, ucznia Edisona.

Można przypuszczać, że pomysł gienjalnego Yankes'a wywoła zupełny przewrót w budownictwie i zmieni wygląd miast nowoczesnych.

Będzie to przedewszystkiem istny pogrom kamieniczników, bowiem każdy średnio zamożny mieszczuch zamieszka u siebie, co mu bynajmniej nie przysporzy kosztów — raczej przeciwnie.

Warszawa jest miastem bardzo zacofanym i zaniedbanym, a jej przedmieścia i okolice tworzą, z małymi wyjątkami, obraz nędzy i rozpaczy.

Tym raźniej trzeba nam korzystać z najświeższych zdobyczy techniki, by powetować czas stracony.

Z tego punktu widzenia świeży wynalazek Edisona wydaje nam się ważniejszym, niż popisy lotnicze, to też pozwalamy sobie ściągnąć ku ziemi wzrok zapatrzonej w niebo gawiedzi.

Starotureckie rządy w Mirkowie.

Robotnicy fabryki papieru w Mirkowie (własność pp. Natansonów) nie byli zadowoleni z dyrektora p. Rosnera, który zbyt surowe i częste nakładał kary za różne błahe przewinienia.

Pewnego dnia robotnicy udali się hurmem do kantoru, ujęli p. Rosnera za ramiona i wywiedli go za próg, dając w ten sposób do zrozumienia, żeby poszukał sobie zajęcia gdzieindziej.

Był to bezprzecznie ze strony pracowników akt przemocy, przytym dość niedorzecznej, bowiem łatwo zgadnąć, że „dymisji" p. Rosnera nie ratyfikowały sfery kierownicze.

Sfery te, w osobie p. Edwarda Natansona, zażądały przedewszystkim, by ogół robotników przeprosił słusznie urażonego p. Rosnera, co się też stało po długim wzdraganiu, podczas którego fabryka nie była czynną.

Gdy w ten sposób zatarg został załagodzony formalnie — zaczęły się mściwe represje.

Pod pozorem ograniczenie produkcji ze względów konkurencyjnych, przedłużono dzień roboczy o 4 godziny wzamian za nieproporcjonalnie małą dopłatę.

Jednocześnie 300 robotników z ogólnej liczby 1 200 ma być odprawionych.

Temi środkami zamierza p. Natanson, człowiek pono kulturalny i światły, a nawet filantrop — uśmierzyć ferment nurtujący robotników jego fabryki.

Jednocześnie sułtan turecki uśmierza ferment Albanji szeregiem ustępstw, zupełną amnestją, a nawet projektem autonomji.

Kiedyż nareszcie nasi feudali fabryczni rozstaną się z azjatyckim nałogiem rządzenia i zaczerpną bodaj od... Młodych Turków nieco rozumnych, nowoczesnych metod!

Kursy rolnicze.

Każda nowa uczelnia w naszym, łaknącym oświaty, kraju napawa nas otuchą lepszej przyszłości, tymbardziej więc cieszy nas powstanie oświatowej placówki wyższych nauk rolniczych, jakiej brak odczuwaliśmy od czasu reformy Puław, które stały się egzotyczną i niedostępną dla nas instytucją.

Tymczasem kraj potrzebuje niezbędnie stałego ogniska skojarzonego z odpowiednimi centrami

oświatowymi zachodu, aby nie być zdystansowanym w ogólno-ludzkim wyścigu. Potrzebuje fachowych kierowników większych gospodarstw rolnych, gdyż obniżają one w razie ich braku ogólno-krajową produkcję, potrzebuje też tymbardziej, wobec wzmagającej się ciągle parcelacji i wielkiej liczby gospodarstw instruktorów rolnictwa dla drobnej własności, a którzy dotąd rekrutują się z przygodnych dyletantów.

Największą jednak trudność przedstawia, jak wiadomo, popularny wykład i trzeba być wykształconym przyrodnikiem i technikiem, aby wszechstronnie objaśnić rozliczne kwestje gospodarcze, mogące się w kółkach włościańskich przytrafić. Dotąd jednak na gruntowne wykształcenie agronomiczne mogli sobie pozwolić jedynie synowie zamożnych obszarników, odbywając odpowiednie studja za granicą. Dzisiaj, wraz z otwarciem wyższych kursów rolniczych przy Muzeum przemysłu w Warszawie spodziewać się można demokratyzacji nauki rolniczej, która nawet synom włościańskim stanie się dostępną, a za ich pośrednictwem i gromady wiejskiej sięgnie.

Spodziewamy się też, że organizatorzy kursów postarają się ułatwić do nich dostęp młodzieży włościańskiej, obniżając odpowiednio wpisy i urządzając tanią bursę.

Ag.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Wybory w Galicji* powszechną ściągają uwagę; mimo, że wynik zupełny nie da się jeszcze przewidzieć, klęska t. zw. demokracji narodowej zarysowała się wyraźnie.

Zbiło to z tropu przeciętną opinję, ufną w niespożytą moc „wszechpolaków". A ponieważ wytworzył się już w prasie łatwy i powszechny *usus* opłakiwania „klęsk narodowych", przeto znaczna część publicystów zdążyła się już wypłakać, biorąc za klęskę narodową niepowodzenie partyjne pp. Grabskiego, Dmowskiego i Pawlikowskiego.

Pierwszy wypłakał się *Kurjer Warszawski* rzewnymi łzami p. Włodzimierza Łady, który swoim zwyczajem wybitnie niedorzeczne wypisał brednie. Tak np. okrąg nowoświecki w Krakowie został, zdaniem tego męża, „narodowo zagrożony" przewagą socjalisty Marka nad demokratą Doboszyńskim, któremu wszedł w drogę... endek Sikorski.

Co prawda, *Dziennik Polski* zapewnia, że taktyka t. zw. demokracji narodowej wszędzie wychodzi na korzyść socjalistów, stanowiąc istotną „groźbę narodową" bowiem oba te zespoły

> każde ze swej strony, a z ogromną forsą i namiętnością zwalczają kandydatów, postawionych przez Radę narodową. W tym jedynie jest między nimi „święte przymierze". Ataki dzienników wszechpolskich na owych kandydatów przedrukowują dzienniki socjalistyczne i odwrotnie.
>
> Tak się stało, że w Krakowie pobił Petelenza — Daszyński, a w innym okręgu wszechpolak Sikorski wsunął się między Doboszyńskim (polskim demokratą) a Markiem (socjalistą) i rozstrzelił głosy. W tym krakowskim okręgu, jak w bardzo wielu innych, przyjdzie do powtórnych wyborów, a to jedynie dlatego, że wszechpolacy i sojusznicy ich stojałowczycy, a za ich przykładem różne małe partyjki stawiały swoich kandydatów, zamiast popierać zalecanych przez Radę Narodową.

Ze swej strony *Słowo Polskie*, centralny organ wszechpolaków, miota się w pasji bezsilnej, bełkocąc naprzemian mgliste groźby i napuszone frazesy tej treści:

> Polska myśl polityczna, reprezentowana przez demokrację narodową, wiele przetrzyma i ze spokojem patrzy w przyszłość. Walka dopiero zaczęta, porachunki nie skończone. Nikt nie uzna w tych warunkach osiągniętych wyników za porażkę z jej strony. Ale gdyby nawet doszło do porażki formalnej, to odniesie ona w każdym razie zwycięstwo moralne, za które naród zachowa dla niej wdzięczność. Postawa bowiem demokracji narodowej nie pozwala społeczeństwu upaść na duchu i zwątpić o możliwości obronienia się od całkowitego „urządowienia".

Tymczasem rzekoma „klęska narodowa" spotyka się z dość nieoczekiwanym odkryciem *Gazety Wieczornej* (organ p. Bataglji), że „Koło Polskie zyskało wielce na składzie jakościowym", na co z łatwością możemy się zgodzić, zważywszy, że pp. endecy wejdą do Koła w uszczuplonej liczbie.

Szlochanie kurjerków na temat „klęski narodowej" jeszcze jedną budzi refleksję: konserwatyści (stańczycy) wyszli z wyborów zwycięsko — czyżby i oni byli już za nawiasem „narodu?"

A co do socjalistów krakowskich — nie tając naszego krytycznego do nich stosunku—musimy zaznaczyć, że odsądzanie ich od polskości jest czelnym wymysłem, bo wszystkim chyba wiadomo, że obóz p. Daszyńskiego nietylko nic niema wspólnego z warszawskim np. „młotyzmem", lecz na przeciwny odeń odbiega kraniec, posuwając frazes patrjotyczny znacznie dalej od najzagorzalszych endeków.

Gazeta Warszawska sączy tłumiony gniew i zawód w zawiłych a zjadliwych wywodach, insynuując, swoim zwyczajem, przeciwnikom sojusz z Rusinami, sjonistami i czartem. Sarka też *Gazeta* na zachowawców, którzy mając wpływ na kahały, prowadzą do urny masy żydowstwa, co pp. endekom nie jest na rękę:

> Dziwnie się układają przekonania partyjne w Galicji. Okazuje się, wbrew doświadczeniom powszechnym, że w Galicji miasta przedewszystkim reprezentują idee konserwatywne — członkowie prawicy narodowej, o ile w swoim powiecie, dzięki pozycji majątkowej, nie mają zapewnionych „wpływów", szukają mandatów w miastach i miasteczkach, zamieszkałych głównie przez żydów. Bowiem w Galicji, z rozkazu starostów i kahałów, żydzi nie są „urodzonymi postępowcami", lecz zwolennikami zasad polskiego konserwatyzmu.

Gazeta Warszawska wpierała w ogół długo i wytrwale, że postęp jest wymysłem żydowskim i bez żydów istnieć nie może. Trzeba było dopiero wyborów w Galicji, aby wyszło na jaw, że żydzi są w gruncie rzeczy „zwolennikami zasad polskiego konserwatyzmu", że zatym postęp polski nietylko z nich się nie składa, ale ma ich przeciwko sobie.

* Krwawe rozruchy w Drohobyczu w czasie zaciętej walki wyborczej między sjonistą dr. Liperem a p. Loewensteinem z pod Rydzyny budzą nader smutne refleksje na temat karykaturalnego zboczenia urządzeń parlamentarnych w krajach ciemnych, nędznych i zacofanych, które nie dorosły do zbiorowych giestów wolnego i oświeconego społeczeństwa.

Plagą Galicji jest pod tym względem zwyczaj presji oficjalnej połączonej często z fałszowaniem i gwałceniem procedury wyborczej — oraz, w większej może mierze, postawa kahałów t.j. gmin żydowskich, które rozporządzają setkami tysięcy oddanych im ślepo nędzarzy i wynajmują ich hurtem różnym stronnictwom. Ten stan rzeczy obniża, wykoszlawia i zohydza demokratyczny akt wyborczy, powodując nadto częste rozruchy, które *Kurjer Poranny* wyjaśnia w następujący sposób.

> Za samą obietnicę jakiejkolwiek strawy lub zasiłku, a choćby tylko łaskawej protekcji, przez ślepe przywiązanie do kahału niosącego pomoc filantropijną i opiekę społeczną, masa gotowa oddawać głosy zwartym szeregiem komukolwiek przez ten kahał jawnie czy dyskretnie wskazanemu. Kahały zaś stają przez zmysł praktyczny po stronie możniejszego. Wywołuje to rozjątrzenie żywiołów opozycyjnych, które przy ogólnym braku kultury doprowadza do

zajść bolesnych, wstrętnych i tym bardziej upokarzających, jeśli ofiarą ich stają się jednostki wyzute z wszelkiego dobra życia i zasługujące na jaknajgłębsze społeczne współczucie.

* Z dwóch dzienników polskich w Wilnie ubył jeden, a redakcja przeniosła się do konkurencyjnego kramu. Z tego powodu bezmyślna nasza prasa wszczęła wrzask... tryumfu, jak gdyby ubytek pisma polskiego na Litwie — bez względu na zabarwienie partyjne — mógł być faktem radosnym.

Ze słuszną ironią wytknął to *Dzień* w artykule p. t. *Czy tryumf?* wołając:

Jaki przykład dla Polski całej!... Zwinąć wszystkie pisma w Warszawie i wydawać tylko „Kurjer Warszawski!" Co za życie zawrzałoby w Polsce?!

Poczym wylicza *Dzień* długi szereg organów polskich w Królestwie, na Litwie i Rusi które zwinięto po krótkiej wegetacji, dodając

Czy likwidowanie placówek prasy polskiej na kresach możemy więc nazywać tryumfami? Czy raczej może pomyśleć należy nad smutnym faktem braku poczytności pism w społeczeństwie polskim.

Jesteśmy świadkami dziwnej bierności społeczeństwa, które w spadku po erze konstytucyjnej odziedziczyło jedynie wolną od cenzury prasę a i tej utrzymać nie umie, za tryumfy poczytując upadek co raz to innego pisma.

* Na bierność i apatję społeczeństwa zwłaszcza na prowincji skarży się wymownie p. St. Staniszewski, niestrudzony działacz i redaktor *Tygodnika Suwalskiego*:

Widzimy masy, wędrujące za granicę, a nikt nie pyta, dlaczego i poco?

Widzimy ruch parcelacyjny a nie pytamy, o ile on jest racjonalny i kto nim kieruje?

Widzimy upadek gospodarstw rolnych, kas pożyczkowych, brak kredytu meljoracyjnego, brak gospodarstwa rybnego, pomimo licznych i wielkich jezior, ogromne przestrzenie piasków i bagien, rzeki stojące, łąki kwaśne, słomiane dachy, pożary, niszczące całe wsie — i milczymy. Milczymy — jakby to nas nic nie obchodziło.

KRONIKA.

STATYSTYKA STUDENTEK WE FRANCJI. W ostatnich latach wzrasta powszechnie liczba kobiet na uniwersytetach europejskich, ale ruch ten ogarnął przedewszystkiem uniwersytety francuskie. Według cyfr, ogłoszonych obecnie przez pisma paryskie, jest teraz we Francji na różnych uniwersytetach słuchaczek filozofji (*Faculté de lettres*) 1,147 poddanych francuskich, 1,002 — obcych; na wydziałach przyrodniczych: 303 Francuski i 150 obcopoddane; na medycynie: 618 Francuzek i 530 obcopoddanych; na prawach: 62 Francuski i 83 obcopodanych; na farmakologji: 51 Francuzek i 4 obcopoddane. W Sorbonie uczy się większa część tych kobiet, bo 2,121, co stanowi ósmą część ogólnej liczby słuchaczów uniwersytetu paryskiego. Ogółem, w całej Francji, 4,000 kobiet stanowią dziesiątą część ogólnej liczby studentów. Pisma notują pozatem, że w porównaniu z rokiem zeszłym liczba słuchaczek na uniwersytetach powiększyła się o 144. Z tego faktu pisma francuskie wyciągają pesymistyczne wnioski o grożącej konkurencji kobiet w zawodach naukowych.

DONIOSŁY WYNALAZEK. Ziomkowi naszemu, byłemu dyrektorowi „Tow. Szczepanika" w Wiedniu, p. Benonowi Borzykowskiemu, który obecnie jest głównym dyrektorem Tow. „Photochemie" w Berlinie, udało się spreparować produkt, nazwany przez wynalazcę „Boroidem", który ma zastąpić niebezpieczny pod względem ogniowym „Celluloid". „Boroid", wynaleziony przez p. Borzykowskiego, jest produktem wielce doniosłego znaczenia, jak o tem świadczą najpoważniejsi chemicy politechnik: londyńskiej i Cambridge, gdzie dokonywano z „Boroidem" licznych doświadczeń i prób.

„USPOKAJANIE". Podług obliczenia *Rieczy*, w ciągu kwietnia st. st. wykonano 14 wyroków śmierci: w Charkowie — 5, w Połtawie — 3, w Elizabetgradzie i Nowym Czerkasku po 2, w Taszkencie i Tyflisie—po 1.

Ogółem w ciągu pierwszych czterech miesięcy 1911 roku wykonano 26 wyroków śmierci.

Na czasopisma nałożono w ciągu miesiąca 24 kary pieniężne w sumie 6,400 rubli, z czego pięć pism polskich zapłaciło 1,100 rubli.

W ciągu pierwszych 4 miesięcy nałożono na pisma w całem państwie 106 kar na sumę 35,175 rubli.

W ciągu kwietnia aresztowano 3 redaktorów w drodze administracyjnej, a jednej drukarni zabroniono drukować pismo.

Z innych represji na uwagę zasługują: zabronienie odczytu p. Milukowa w Symferopolu, oraz odczytów o awjacji w Kijowie.

W Libawie zamknięto Towarzystwo wzajemnej pomocy, w Ekaterynosławiu odmówiono legalizacji 10 stowarzyszeniom oświatowym, w Warszawie — Towarzystwu kursów dla analfabetów, w Carycynie — Towarzystwu robotników w tartakach.

Ogółem w ciągu 4 miesięcy zamknięto i odmówiono legalizacji 75 stowarzyszeniom kulturalnym i zawodowym.

LASY W KRÓLESTWIE POLSKIM. W granicach 10 guberni kraj nasz obejmuje ogółem 22,026,206 morgów; z tego w r. 2890 znajdowało się pod lasami już tylko 20,6 proc. przestrzeni, gdy w r. 1865 było ich jeszcze na tym samym obszarze 25 proc. W guberni Lubelskiej podług danych statystycznych przestrzeń leśna przed laty 80 zajmowała 30, 8 całego terytorjum Przed 40 laty obszary tych lasów wzrosły do 34,3 proc, obecnie zaś spadły do 20 proc. Z całej przestrzeni lasów lubelskich gospodarstwo urządzone posiada tylko 30,4 proc. reszta wyniszczana jest w sposób całkiem barbarzyński. A nawet i te „niby urządzone", jak twierdzi p. H. W. w Ziemi lubelsk. są przeważnie urządzone tylko na papierze.

XI ZJAZD LEKARZY I PRZYRODNIKÓW POLSKICH odbędzie się w Krakowie w d. od 17 do 21 lipca włącznie. Zjazdy lekarzy i przyrodników polskich gromadzą około 1,500 uczestników ze wszystkich ziem polskich, a nawet z zagranicy. Odczytów zgłoszono około 600, dotyczących najważniejszych kwestji naukowych, zawodowych i społecznych. Obrady Zjazdu zostały w ten sposób zorganizowane, że składa się on z niewielkiej liczby sekcji, z których jednak każda obejmuje kilka gałęzi nauk pokrewnych, a podstawą ich obrad są przedewszystkim tematy ogólniejszego znaczenia, przedstawione przez kilku referentów, którzy oświetlą je pod różnymi kątami widzenia. Ponadto zgłoszono wiele bardzo ważnych samoistnych odczytów.

POCHÓD SUFRAŻYSTEK. Londyn był widownią niezwykłej rozmiarami i świetnością manifestacji sufrażystek; w pochodzie, długim na 1 i pół mili wzięło udział 50,000 kobiet, prowadzonych ze sprawnością strategiczną przez „oficerów" w szyku bojowym pod dowództwem „generała" pani Drumond na koniu. W pochodzie uczestniczyły żony ministrów kolonji samorządnych, bawiących w Londynie na konferencji imperjalnej.

Energja, z jaką kobiety angielskie walczą o równe prawa, pozwala mniemać, że wkrótce dopną celu, dając tym przykład i poważny precedens tym wszystkim narodom, które osiągnęły już prawa polityczne dla *mężczyzn.*

HOJNA OFIARA. Pisma donoszą, że pani Stanisławowa Kierbedziowa, wdowa po słynnym inżynierze, zamierza ofiarować 360,000 rb. na Tow. Bibljoteki Publicznej w Warszawie i 250,000 rb. na Szkołę Sztuk Pięknych w tymże mieście.

KASA MIANOWSKIEGO. Otrzymaliśmy sprawozdanie 29-te z działalności Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia dr. Józefa Mianowskiego, z którego szereg informacji przytaczamy poniżej:

W początku r. 1910 Komitet, zarządzający Kasą, składali pp.: K. Dobrski (prezes), J. Domaszewski (wiceprezes), Józef Natanson (kasjer), F. Kucharzewski (sekretarz), B. Chlebowski, K. Dunin, J. Eismond, M. Flaum, H. Goldberg, H. Konic, T. Korzon i J. Pawiński. Ustąpili z Komitetu w ciągu r. 1910 pp.: Korzon i Eismond, na których miejsce wybrani zostali pp. F. Pułaski i K. Sławiński. Członków założycieli było w końcu 1909 roku 88, członków honorowych 158 (w ciągu r. 1910 przybyło 3 członków honorowych), członków rzeczywistych wniosło roczną składkę 573.

Podań o zapomogi złożono Kasie w r. 1910-ym 89 (50 na cele i badania naukowe, 39 na wydawnictwa naukowe). Z tej liczby odpowiedź przychylną znalazło 67 podań.

Zapomogi, wypłacone w r. 1910, wynosiły: *a*) na cele i badania naukowe z funduszu obrotowego r. 13,290, z funduszów specjalnych rb. 5,110 k. 82, razem rb. 18,403 kop. 82. *b*) na wydawnictwa naukowe: z funduszu obrotowego rb. 22,853 kop. 21, z funduszów specjalnych rb. 3,009 kop. 24, razem rb. 15,862 kop. 45; *c*) dla osób, które już poprzednio dały się poznać z prac naukowych: z funduszów specjalnych rb. 1,537 kop. 30.

Ogółem więc zapomogi, wypłacone przez Kasę im. Mianowskiego, wynosiły w r. 1910-ym rb. 45,800 k. 37; w tej sumie zapomogi bezzwrotne rb. 32,942 kop. 39 i zapomogi warunkowo zwrotne rb. 12,858 kop. 18.

PROKLAMACJA REPUBLIKI W PORTUGALJI. Proklamacja rządu republikańskiego, przyjęta przez izbę i publicznie odczytana, jest tej treści:

Monarchja w Portugalji jest na zawsze zniesiona, a dynastja Braganzów wygnana z kraju; forma rządu w Portugalji będzie odtąd republikańsko-demokratyczna: bohaterom rewolucji, poległym i żywym należy się nigdy nie wygasła pamięć i wdzięczność; dzień 18 czerwca będzie odtąd świętem narodowym.

Obecnych przy odczytaniu proklamacji było 192 posłów. Niepokojów ani zajść jakichkolwiek nie było. W całym kraju panowała ogólna radość. Śpiewano pieśni na temat wolności, pomiędzy nimi i marsyljankę.

NEKROLOGJA. Zmarł podczas kampanji wyborczej w Krakowie b. poseł dr. Ignacy Petelenz. Zmarły należał do stronnictwa demokratów krakowskich, był pedagogiem i docentem w politechnice lwowskiej, napisał również kilka pożytecznych książek z dziedziny przyrody.

Bibljografja.

Zeszyt majowy **Świata Słowiańskiego** zawiera treść następującą: „Dwa obrazki petersburskiej racji stanu", przez dr. Władysława Horodyskiego; „Profesor Hruszewskyj i jego historja Ukrainy—Rusi", przez Fr. Rawitę-Gawrońskiego; „Dragon Cankow" przez Jana G.; „Docitej Okadovic", przez M. J.; Przegląd prasy słowiańskiej; Z przeszłości słowianofilstwa w Polsce; Recenzje i Sprawozdania.

— Zeszyt czerwcowy **Poradnika językowego** zawiera artykuł wstępny o nowym słowniku języka polskiego, rozprawę dr. Mikołaja Rudnickiego p. t. „Józwa Bezlogi a ostatnie odkrycia językoznawcze" i zwykłe rubryki.

— Zeszyt majowy **Miesięcznika literackiego i artystycznego** zawiera treść następującą: „Herostrat", przez G. Glassa; „Mądrość serdeczna", przez A. Szczęsnego; „Gdziekolwiek oczy moje się obrócą", przez J. Rundbakena: „Preludja", przez H. Jaszkiewicza; „Jak było drzewiej", przez Wł. Orkana; „O symbolice kolorów", przez E. Millera; „Ciasna brama" A. Gide'a w przekładzie J. Germana; poezje Szpyrkówny, T. J. Łazowskiego i t. d.; „Mangha", przez F. Jasieńskiego; „Wystawa Podhalańska", przez M. Perl; szereg sprawozdań z literatury zagranicznej i sprawozdania z książek. Szereg dobrych reprodukcji ozdobi ten zeszyt.

LIST DO REDAKCJI.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o zamieszczenie w swym piśmie — celem obrony prostej uczciwości dziennikarskiej, bezkarnie lekceważonej prez pewne organa — słów następujących.

W Nr. 28 z d. 13 kwietnia r. b. tygodnika „Nowe Życie" zamieściłem notatkę: „Związki zawodowe a statystyka urzędowa". Notatka ta znalazła łaskawe uznanie „Kurjera Zagłębia", który przedrukował ją dosłownie d. 6 b. m. jako artykuł wstępny, przyczym nietylko nie zaznaczył, że „artykuł" ten jest prostym przedrukiem, lecz, co więcej, położył pod nim mój podpis, stwarzając przez to samo pozór, że rzecz została napisana przeze mnie właśnie dla „Kurjera Zagłębia", z którym nic wspólnego nie mam.

Stanowczo też zaprotestować muszę przeciw takiemu przywłaszczaniu sobie współpracowników za pomocą podpisywania ich nazwisk pod zeskamotowanymi artykułami. To stawia publicystów należących do innego, niż „Kurjer Zagłębia" obozu w dwuznaczne położenie.

Z wysokim poważaniem
L. Wiciński.

Warszawa, d. 15 czerwca 1911.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Robotnikowi z huty. Wystąpić z Kościoła katolickiego wolno, ale pod warunkiem przyjęcia jakiegokolwiek innego chrześcjańskiego wyznania np. *ewangeliczno-reformowanego*, bezwyznaniowości bowiem prawo rosyjskie formalnie nie uznaje. Dla tego też powodu chrzest dzieci nie da się pominąć. Dziękujemy za pamięć i serdeczne zaufanie.

P. Jastrzębskiemu w Kosowie (Galicja). Można podzielać Pański wstręt do „mięsożerstwa" ale niepodobna zgodzić się z tym, by nędzarz galicyjski, spożywający mięso 2 razy do roku, wyżej stał przez to od farmera angielskiego, który jada mięso 2 razy dziennie. Co innego jarstwo z przekonań, a co innego — z musu

P. Knarskiemu w Zarożanach. Niestety, brak czasu i odpowiednich źródeł nie pozwala nam udzielić Sz. Panu żądanych informacji, które wszakże łatwo Pan znajdzie w *Poradniku dla Samouków* (t. II i IV) oraz wydawnictwie bibljograficznym *Książka* (Krak.-Przedm. Nr. 9.)

Książki nadesłane do Redakcji:

M. Rudowska: „O ewolucji miłości", Nakład Polsk. Stow. Równ. Kobiet. Skład gł. u Gebethnera i Wolffa.

I. O. Chatterji: „Filozofja ezoteryczna Indji". Przekład U. Krzemienieckiej.

Stanisław Półkozic Plichta: „Pamiętnik z czasów 1863—1872" Warszawa, Gebethner i Wolff.

Stanisław Brzozowski: „Sam wśród ludzi". Warszawa, Wende i S-ka.

Sacher-Mazoch. „Groźne kobiety". I t. Sfinksy, II t. Silne serca. Warszawa, Wende i S-ka.

Stanisław Birny Drobecki: „Fartuszek". Księgarnia Wende i Sp.

Marjanne D'Alcoforado: „Listy Miłosne", tłum. Stanisław Przybyszewski. Warszawa, Wende i Sp.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca **Józef Jabłoński.** Redaktor **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.